

11.1.925.011
Jaw.

BEZ CENZURY

KAZIMIERZ BRANDYS

NIERZECZYWISTOŚĆ

INSTYTUT

PARYZ



LITERACKI

1978

BEZ CENZURY

KAZIMIERZ BRANDYS

NIERZECZYWISTOŚĆ

NIERZECZYWISTOŚĆ

IMPRIMERIE EN FRANCE

Wydawnictwo Instytut Literarny, 91, Avenue de Flandre, La Madeleine-Paris
par 75003 - MAISON-LAFITTE

jedynie pod kątem rzeczywistości, z której się wyłonił, i zanalizowany wraz z objawami nie kontrolowanymi przeze mnie. Mieści się to w granicach uprawnień naukowych socjologii. A jednak budzi we mnie sprzeciw. Myślę, że to jest odruch mniej więcej normalny. W końcu każdy z nas stanowi dla siebie doświadczenie najbardziej prywatne i kiedy jego treści duchowe mają służyć za materiał porównawczy do badań szerszego czy ogólnego zjawiska, czuje się jakoś zdegradowany. Tak nas zmajstrowali — dla siebie jest się zawsze wyjątkiem, chociaż ankiety i statystyki mówią co innego. Chyba obydwaj, pan i ja, odczuwamy tę wyjątkowość własnego istnienia, mimo iż wiemy, ile milionów ludzi istnieje jednocześnie z nami i ile milionów lat przed nami upłynęło. Ale w gruncie rzeczy nie mamy powodu, żeby się wstydzić tego samopoczucia. No tak, jest irracjonalne, to prawda, tkwi w nim jednak zbawienne i konieczne złudzenie, bez którego nie można by sobie wyobrazić indywidualności. Strach pomyśleć, czym byśmy byli, gdyby każdy z nas czuł się „średnią” lub „przeciętną”.

— Mógłby mi pan odpowiedzieć, że wyniki ankiet, testów i statystyk są nowoczesną szkołą informacji społecznej. Mnie wydają się chwilami współczesną lekcją niewolnictwa. Z publikacji socjologicznych człowiek się dowiaduje, że pięć milionów ludzi ma zarobki, potrzeby, myśli i marzenia takie same jak on. Taki człowiek ma odtąd świadomość siedmiocyfrową, liczba zastępuje mu indywidualność. Właściwie czym jest moda, jeśli nie rzędem zer dopisanych do czyjegoś gustu, i czym jest totalizm, jeśli nie rzędem zer dopisanych do czyjejś przemocy. Oczywiście, jestem jednym z wielu. Ludzie tacy jak ja żyją w każdej epoce i w każdej są jej szarą materią. Takich ludzi nazywa się masami, narodem, społeczeństwem, a o ich życiorysach mówi się bezosobowo, jakby należały nie do nich, tylko do ich czasów. Ale dopóki żyją, mają złudzenie swojej pojedynności i bronią się, właśnie tym odblaskiem jedynobóstwa, jaki noszą w sobie, bronią się nim przed liczbą, przed ateistycznym bogiem pustki. To był mój pierwszy opór.

— Zaproszono tu pana na cykl wykładów uniwersyteckich, ja przyjechałem na międzynarodowy kongres sztuki teatralnej, mam także rozpocząć próby w tutejszym „Studio XX”. Tak się złożyło, że spotkaliśmy się w mieście nad Morzem Północnym. Rozmawiamy ze sobą po polsku. Również i tak się złożyło. Spostrzegłem przy tym, że pilnie się pan wsłuchuje w moją polszczyznę. Od pierwszej chwili interesował pana mój zasób słów, rodzaj skojarzeń i kolokwialnych nawyków. Z ciekawością śle-

dził pan moją składnię. To jasne, w ciągu trzydziestu pięciu lat pana nieobecności zmienił się w Polsce także język. Mówimy nieco inaczej, użył pan kilku wyrażań przeze mnie niemal zapomnianych, choć najzupełniej poprawnych. Takich, jak na przykład „zniecka” lub „miałem strapienie”. Są to zwroty dziś w Polsce rzadziej używane, nasuwające myśl o starych książkach. Parokrotnie natomiast posłużył się pan czasownikiem „implikować”, który chyba przyswoił pan sobie ze strefy językowej anglosaskiej. Nie o to jednak chodzi. Przysłuchując się, pan mnie i ja panu, w gruncie rzeczy badaliśmy się nawzajem. W języku przejawia się nie tylko indywidualna osobowość, doskonale o tym wiemy. Mówiąc o jedzeniu, zawsze wyrażamy jakąś zbiorową rzeczywistość, która ukształtowała nasz stosunek do jedzenia. Podobnie, kiedy mówimy o polityce czy kobietach. Otóż wydaje mi się, że ja przysłuchiwałem się panu bezinteresownie, a pan mnie — już wtedy — z powziętą i określoną intencją: poznania zbiorowości, jaka przeze mnie mówi. Słuchał pan, jak mówię, sprawdzał pan czy w moim języku przebijają się znane panu klisze myślowe, stereotypy, automatyzm frazeologiczny, słowem, wiadome objawy zablokowania mózgu. Kiedy mówiłem, obserwował pan człowieka, który przeżył ponad ćwierć wieku w kraju rządzonym przez komunistów. Taki człowiek, myślał pan, musi być już inny i przypuszczalnie nie zdaje sobie sprawy ze swojej inności. W tym punkcie chciałbym wprowadzić niewielką poprawkę. W kraju, w którym mieszkam, czyli w Polsce, może się jednak zdarzyć, iż człowiek zdaje sobie sprawę, że z pewnych rzeczy nie zdaje sobie sprawy. Nawiązując do pytania ankiety, jakie wybrałem na początek, powiedziałbym, że w porównaniu z ludźmi pańskiego świata dopuszczam możliwość swojej odmienności, której nie potrafię sobie uświadomić. A jednocześnie uwzględniam i taką możliwość, że również pan nie potrafiłby sobie uświadomić niektórych swoich odmienności w porównaniu z ludźmi mego świata, chociaż nie wątpię, że istnienia tych odmienności jest pan pewny. Tak więc przynajmniej w tej konkurencji mamy równy start.

— Prawdopodobnie niepokoi pana, że krążę dokoła tematu moich zahamowań przed nagraniem, wciąż powracając do punktu wyjścia. Zamiast mówić — tłumaczę, dlaczego trudno mi mówić. Zamiast mówić o sobie — mówię o panu. Jednakże pamiętam pana życzenie: mówić właśnie o sobie, przede wszystkim o sobie. Radził mi pan trzymać się swoich wewnętrznych treści, nie występować w imieniu jakiejkolwiek większości ani

typowości, nie przerzucać swoich doświadczeń na epokę i unikać wniosków. Proszę nie dążyć do uogólnień, tak zdaje się pan powiedział. Mówić ja, a nie Polska. Zgoda. Ale to nie będzie łatwe. Wspomniałem przed chwilą o złudzeniach indywidualności. Zachowaliśmy je, trzeba jednak dodać, że zachowaliśmy je mimo wszystko. Jeśli nie wbrew wszystkiemu. W ciągu pół wieku dobudowano wielopiętrowe bloki do naszego samopoczucia. Nazwałbym to czymś w rodzaju urbanizacji duchowej humanizmu. Można mieć własne i oryginalne poglądy na wiele spraw, ale przez pięćdziesiąt lat dyktatury zastępowały ludzkie sumienie skandowaniem tłumy, a nauki społeczne operowały częściej pojęciem masy i grupy niż jednostki. Stwierdzam niejednokrotnie, że nie umiem myśleć w prostym trybie ja o s o b i e. Każda myśl tego rodzaju układa się w kondygnacje o wielu oknach, dających różne perspektywy na przestrzeń i czas. Myśląc ja — w chwili gdy to myślę, umieszczam się na podwójnej osi: stosunków między ludźmi oraz między człowiekiem a czasem. Jeden z końcowych punktów kwestionariusza zawiera pytanie, czy sądzę, że sto lat temu ludzie w moim kraju byli szczęśliwsi niż obecnie. Nie mam pojęcia, jak na to odpowiedzieć, ponieważ nie żyłem sto lat temu. Ale wyobrażam sobie, że sto lub dwieście lat temu człowiek rozliczający się z sobą czynił to w skali swego życia, to znaczy między narodzinami a śmiercią. Rozliczał się w stosunku do kilkudziesięciu czy kilkuset osób, a jedynym piętrem wybudowanym ponad jego osobistym istnieniem był wzgląd na życie wieczne. Ludzkie światy były wówczas małe i zamknięte niebem. Ja natomiast muszę w każdej myśli rozważyć siebie w kontakcie z universum powiązań, przeobrażeń i uwarunkowań, o które poszerzono moją świadomość. Jak powiadam, usilnie, pracowano, aby każde ja tkwiło w epoce i aby epoka tkwiła w każdym ja. Epoka, czyli miliony ludzi, faktów, rzeczy i informacji wraz z napięciami, jakie powodują. Z tym, co jest w nich prawdziwe i nieprawdziwe, bezczelne, wynaturzone albo zakłamanie, z ich możliwościami chamstwa, gwałtu i nadużyć, z ich progresją i obojętnością na sprawiedliwość i rozsądek. Oraz z tym, co może w nich być lepsze lub gorsze niż było kiedy indziej i bywa gdzie indziej. Powiedział pan, że bym się trzymał własnych treści. W jaki sposób? Odnoszę nieraz wrażenie, że to, czym jestem, rozpełza się we wszystkie strony, jak tłum po ulicach miasta, w którym znalazłem się po raz pierwszy w życiu.

— Grupa pytań o dane biograficzne przynosi sprawę na solidniejszy grunt. Ma pan do czynienia z osobnikiem urodzonym w

przeddzień wybuchu Pierwszej Wojny Światowej. Mój ojciec był nauczycielem, a potem dyrektorem gimnazjum. W roku 1933 wstąpiłem na wydział prawa Uniwersytetu Warszawskiego, ale po dwóch latach moi rodzice dowiedzieli się nie bez zdziwienia, że studiuję filozofię. Zajmowałem się nią tylko przez dwa trymestry. W istocie moim prawdziwym zainteresowaniem była sztuka, w czasie studiów występowałem jako statysta w teatrze. W roku 1936 rzuciłem uniwersytet i zapisałem się na wydział reżyserski Państwowego Instytutu Sztuki Teatralnej, dawniej się o tym mówiło : szkoła dramatyczna. Powinieniem jeszcze dodać, że po maturze odbyłem służbę w szkole podchorążych łączności w Żegrzu. W latach 1940-44 byłem związany z konspiracyjnym ugrupowaniem, które weszło w skład Armii Krajowej. Po roku 1945 rozpocząłem pracę reżyserską, którą zajmuję się do dzisiaj, wprawdzie coraz rzadziej. Nie jestem członkiem żadnej organizacji o charakterze politycznym. W latach 1956-68 wykładałem w warszawskiej PWST, jest to obecna nazwa tej samej uczelni, którą ukończyłem przed wojną: Państwowa Wyższa Szkoła Teatralna. Od roku 1970 jestem teatrologiem, mam cichy pokój w Państwowym Instytucie Sztuki. Liczę na to, że wszystkie te firmy o podobnych literach nie pomieszą się panu.

— Nie chciałybym zaprzętać pańskiej uwagi szczegółami mego życiorysu. Lecz skoro w dalszym ciągu mam odpowiedzieć na pytania dotyczące mego światopoglądu i zasad etycznych, byłoby nie do pomyslenia mówić o tych sprawach w sposób oderwany. Kształtują je przecież okoliczności życiowe o różnym charakterze, niekiedy historycznym, a również osobistym i rodzinnym. Wymieniłem tu zawód mego ojca. Fakt, że był pedagogiem, niewiele wyjaśnia, musiałbym z grubsza określić jego umysłowość i wpływ, jaki na mnie wywarł. Postać ojca ma często wagę prototypu, ojciec jest pierwszym człowiekiem, a przynajmniej pierwszym mężczyzną, z którym się stykamy, z którym się porównujemy i którego osądzamy. Ponadto jest nieco tajemniczą sylwetką w naszym życiu, obdarzoną czwartym wymiarem : przeszłością. W dzieciństwie nie ma kategorii przemijania, istnienie jest wtedy jak gdyby stanem wyobrażonym, niecierpliwą ciekawością pomiędzy „dzisiaj” a „jutro”. To, co było przed naszym urodzeniem i w czym długo będą tkwić nasze legendy i symbole, wiąże się z postacią ojca. Usłyszane w dzieciństwie słowa „kiedy byłem w twoim wieku”, są naszym zapoznawczym spotkaniem z historią, a pierwszym Tacytem i Plutarchem jest dla nas człowiek, który skierował naszą uwagę na czas przeszły dokonany.

— Mój ojciec przekazał mi wiek XIX. Były w nim rewo-

lucje i powstania, rozwinął się przemysł, była niewola i emigracja. O tym wszystkim dowiedziałem się w domu, prawdopodobnie we wczesnym dzieciństwie, i stworzyło to rodzaj ikonografii życia mego ojca. Jakkolwiek urodził się pod koniec ubiegłego wieku, był dla mnie powstańcem, emigrantem, sybirakiem i pozytywistą. Był jednocześnie Gustawem i Konradem oraz połączeniem Traugutta z Wokulskim. Taki obraz upersonifikowanej historii podobny jest do snu, z którego człowiek budzi się w miarę jak dorósł. Ale często ludzie są pogrążeni w takich infantylnych snach przez całe życie. Trudno mi ustalić okres, w którym zaczęłam myśleć na własny rachunek. Być może dopiero w czasie wojny. W pierwszych miesiącach okupacji mój ojciec chodził w starej kolejarskiej czapce. Dlaczego — dzisiaj już sobie nie przypominę. Ale kiedy go pierwszy raz w niej zobaczyłem, poczułem osłupienie, zgrozę. I chyba ten widok raz na zawsze wyrwał mnie ze snów dzieciństwa. Odtąd mój ojciec stał się dla mnie postacią współczesną, kolejarska czapka zamieniła go w przechodnia.

— Historię zazwyczaj poznajemy w formie naiwnej, dopiero później osaczają nas jej demony. Kiedy w Warszawie zamordowano prezydenta Narutowicza, miałem osiem lat. Nie mogłem zrozumieć, co kierowało człowiekiem, który go zastrzelił, pamiętam tylko pochmurny dzień, gdy ojciec wrócił do domu w zabłoconych kaloszach i powiedział: — To oni. — A więc byli jacyś oni. Przyszło mi wtedy do głowy, że prawdziwą historię ukrywano przede mną, tak samo jak niektóre książki w domowej bibliotece: nie wolno mi było ich czytać, bo jeszcze nie dorosłem. Ukrywano przede mną grzechy świata, nędzę, politykę, prostytutkę i tajemnicę płci. Na tym polegało wychowanie. I jeśli się dobrze zastanowić, to było niegłupie, a bądź co bądź nie głupsze od wychowania Pierwszego Człowieka. Bez zakazanego owocu nie ma raj, ale jabłko świadomości dojrzewa po to, aby być zerwane.

— Wszystko to jest trochę niejasne, trudno mi oddzielić siebie i własne dojrzewanie od grupki moich rówieśników, z którymi chodziłem do szkoły. Przekonań nie zdobywa się samemu, lecz jakby przez zbiorowe obwąchiwanie się pod Drzewem Wiedomości. Na dwa lata przed maturą kilku z nas miało już poglądy. Nie mam zamiaru ich panu streszczać, poglądy były gotowe, nim zdążyliśmy je sobie wyrobić. Czekwały na nas, podobnie jak rodzaje broni czekają na rekrutów. Ktoś zaciągnął się do socjalizmu, ktoś inny do nacjonalizmu. Mnie przypadło dziedzictwo demokratycznej tolerancji, duch zrozumienia i umiaru czekał, aby mnie przygarnąć do łona. I nie umiałbym wiele ponad to

dorzucić: wszystko stało się po prostu, ale w niezbyt określony sposób.

— *Jakie czynniki i okoliczności wpłynęły na mój światopogląd?* Mam dwa światopoglądy. Jeden w okresach przygnębienia i drugi, kiedy wchodzę w okres żywotności. Poza tym miewam opinie o ludziach i faktach, nie sędzę jednak, aby to był mój pogląd na świat. Mógłbym się najwyżej zastanowić nad moimi stosunkami ze światem, ale to jest cokolwiek inna sprawa, powiedziałbym nawet, że bliższa poglądu świata na mnie, niż odwrotnie. Szczerze mówiąc, niektóre pytania kwestionariusza rozmijają się z moim życiowym doświadczeniem. Na przykład punkt dotyczący studiów uniwersyteckich zakłada z góry, że w tych latach mój umysł wzbogacił się o sumę wiadomości w wybranej dziedzinie wiedzy. Założenie jest o tyle fałszywe, że mój umysł wzbogacił się wówczas w sposób istotniejszy i o coś zgoła innego. Mam na myśli wstrząs mózgu, jakiego doznałem po uderzeniu łaską w głowę. Był to ważny epizod w moich stosunkach ze światem, który w sposób dobitny dał mi wtedy odczuć swój pogląd na moją osobę. Pobudziło mnie to do myślenia w większym stopniu niż wykłady prawa rzymskiego.

— Egzaminy zdawało się w grupach po trzech, czterech studentów. Byłem nieźle przygotowany, miałem już za sobą egzamin z teorii prawa i historii ustroju dawnej Polski wraz z dziejami procesu sądowego. Postanowiłem odetchnąć świeżym powietrzem i wyszedłem z moim kolegą na dziedziniec. Pozostał mi ostatni egzamin, właśnie z prawa rzymskiego. Przechadzaliśmy się przed gmachem biblioteki, gdy za nami rozległ się tupot i krzyk. Odwróciłem się: ktoś leżał na ziemi osłaniając głowę. Jednocześnie minęło nas kilku studentów w czapczkach Bratniej Pomocy, jeden z łaską i w wysokich butach. Po chwili, kiedy usiłowałem podnieść leżącego, zamroczył mnie ból ponad karkiem i chyba na parę sekund straciłem przytomność, bo nie przypominam sobie, czy o własnych siłach wróciłem do budynku. Nie pamiętam też pytań, na jakie odpowiedziałem z prawa rzymskiego, wiem tylko, że po ostatnim spadłem z krzesła. Kiedy mnie podniesiono, profesor oświadczył: — Zdał pan, mimo przemęczenia. — Nazajutrz ocknąłem się na łóżku w szpitalu Dzieciątka Jezus po wstrząsie mózgu wskutek uderzenia tępym narzędziem w potylicę.

— Było to moje pierwsze zetknięcie z terrorem fizycznym. Takie chwile przeżywa się haniebnie i myślę, że czułem się mniej więcej tak, jak kobieta po zgwałceniu. Bezsilność i wściekłość z dodatkiem czegoś plugawego, a przy tym chaplinowski

komizm sytuacji: wybawca pada u boku osoby, której biegł na ratunek. Wszystko to kłębiło się we mnie i musiało się w końcu na kimś skrupić. Ofiarą padł mój ojciec. Uspokojony, że mojemu zdrowiu nie grozi i że zdałem na drugi rok studiów, pokwitował wypadek staropolskim „do ślubu się wygoi”. Oniemiałem. Po chwili jednak zacząłem mówić, wiedząc, że każdym słowem go obrażam. Dostrzegłem w nim pewną dziwną cechę, która mnie irytowała, chociaż nie potrafiłem jej ściśle zdefiniować. Jakąś chrząkającą poczciwość z dodatkiem czegoś... Czegoś w rodzaju udawania czy obłudy. Nie miałem jeszcze pojęcia, co to jest stara szkoła milczenia. Oczywiście mój ojciec był prawym człowiekiem, i to tak dalece, że jego umysł na pewno nie ogarniał miary ludzkich nieprawości. Ale znałem go także z innej strony: był dostatecznie rozsądny, aby zrozumieć znaczenie mojej przygody na uniwersytecie. Fakt był ohydnie jasny, podniosłem z ziemi pobitego do krwi człowieka, żeby mu udzielić pomocy, i dostałem za to pałką w głowę. Obrzydliwością tego faktu mój ojciec musiał być wzburzony. Kiedy jednak stwierdziłem, że na polskich uczelniach masakruje się ludzi za to, że są Żydami, czułem, jak moje słowa, omawiające ten sam obrzydliwy fakt, wywołują w ojcu wzburzenie innego rodzaju. Miał mi wyraźnie za złe, że nazywam po imieniu rzeczy, o których należało milczeć. A należało o nich milczeć z jakichś delikatnych powodów, rodzinno-towarzyskich czy obywatelskich. Mój ojciec wolałby nie słyszeć takich słów jak „Żyd”, „krew” czy „masakra”. Może dlatego właśnie, że nie był antysemitą i nie lubił brutalnej siły, każdą wzmiankę o antysemityzmie i gwałcie fizycznym uważał za wulgarny nietakt. A przecież musiał wiedzieć o tym, co się wówczas działo na wyższych uczelniach. Przyszło mi do głowy, że wiedzieć a znać prawdę to niezupełnie to samo. Tego, że człowiek, który nie zna siebie, nie jest zdolny do poznania prawdy, tego jeszcze nie rozumiałem. Rozmowa toczyła się przy stole. Przypatrując się spod oka, jak ojciec macza rogalik w szklance kawy, wypowiedziałem kilka uwag o przejęciu przez Polaków tradycji rosyjskich pogromów. Po czym spytałem go, czy po zabójstwie Narutowicza z takim samym smakiem zjadał swój rogalik. Wtedy ojciec zerwał się od stołu i uderzył mnie w twarz.

— Przed chwilą przestuchałem taśmę od początku. Może jednak należało się trzymać kolejności pytań. Wydaje mi się, że nadal mówię o b o k albo z a m i a s t i grozi mi tok autobiograficzny przetykany wspomnieniami. Wspomnienia dobywające się z przyrządu za pociśnięciem klawisza brzmią jak

spowiedź przez tubę. To ostatnie zwłaszcza. Słuchając miałem uczucie, że mówi do mnie imitując mój głos ktoś, kto podsłuchał moją kłótnię z ojcem. No, ale trudno, będę mówił dalej. Ostatecznie mogę zniszczyć taśmę i odesłać panu magnetofon z usprawiedliwieniem na piśmie. Chcę jednak mówić po pierwsze dlatego, aby się przekonać, czy stać mnie na nieskrępowaną wypowiedź. Po drugie: czy jestem zdolny do myślenia o swoim życiu w sposób jako tako racjonalny i zobiektywizowany. I po trzecie, z fabularnej ciekawości: czy dowiem się od siebie czegoś, o czym dotychczas nie wiedziałem. Na tym dzisiaj kończę, jutro dalszy ciąg.

— Scena z ojcem odbyła się dokładnie tak, jak ją opisałem, ale mój komentarz jest dzisiejszy. Wtedy czułem najwyższe podejrzenia. Coś nas poróżniło, ojciec na swój chrząkający sposób był uczciwy, a ja nie potrafiłem uczciwie wyrazić własnej uczciwości. Może to brzmi trochę zawile, lecz w gruncie rzeczy jest proste. Obaj byliśmy uczciwymi ludźmi, czy — mówiąc językiem ojca — uczciwymi Polakami, tylko że ja byłem Polakiem po wstrząsie mózgu. Uderzenie pałką w głowę najpierw mnie ogłuszyło, ale po odzyskaniu przytomności zacząłem inaczej widzieć. Zobaczyłem mój prawdziwy kraj, żywą ojczyznę w ruchu. Nie poprzez literaturę i nie poprzez historię. Polska mnie dopadła, wymacała i stłukła. Leżąc słyszałem nie śpiew i nie kolędę. Słyszałem szurgot i wrzask. Owszem, to było szokujące. Ale budziło jakąś reakcję. Moja wściekłość i upokorzenie szukały argumentów, już nazajutrz byłem gotów do pryncypialnego mordobicia w obronie własnej racji. A więc zareago wałem normalnie: jak wolny człowiek. Jak Francuz lub Amerykanin w momentach, gdy walczy się o własne racje między sobą. Mój ojciec w takich momentach zaczynał chrząkać, bo dla niego między sobą znaczyło między swoimi. Przypuszczam, że w ogóle nie rozumiał pojęcia niewoli innej niż narodowa. Czuł się wolny, ponieważ żył w Polsce rządzonej przez Polaków.

— Przypominam sobie aforyzm Sienkiewicza, wpisany do czyjegoś sztambucha w roku 1914, wkrótce po moim urodzeniu: „Biada narodom, które kochają więcej wolność niż ojczyznę”. Siedem narodów szło wtedy posłusznie na wzajemną rzeź za siedem ojczyzn, ale Sienkiewicz — nazwany przez kogoś cudowną statua w jezuickim teatrze wyobraźni — Sienkiewicz miał pewnie na myśli Polskę szlachecką i przyczyny rozbiorów. Wprawdzie Polska upadła nie dlatego, że naród za bardzo kochał

wolność, lecz raczej przez to, że pewna jego część za bardzo kochała siebie, znając jednak autora rozumiejąc intencję. Mimo to sama formuła jest czymś niebywałym jako świadectwo mentalne, dzisiaj, w okresie gdy dyktatury opanowały już po mistrzowsku sztukę szantażowania wolności ojczyznę i vice versa. Tego Sienkiewicz nie przewidział. Może jednak powinien był odczuć niesamowitość alternatywy: albo ojczyzna, albo wolność. Tak, ale żeby odczuć w tym albo-albo grozę podwójnego zaszantażowania, niejedyn Polak dziś jeszcze musiałby dostać pałką w głowę na Krakowskim Przedmieściu, i to od Polaka, jak ja w swoim czasie. Chciał pan, żebym mówił o sobie. Więc mówię: wstrząs mózgu uruchomił we mnie nieczynną półkulę świadomości. Stałem się zdolny do normalnego myślenia, tak jak się jest zdolnym do normalnego oddychania po zdjęciu odmy z płuca. 4

— Prezentując sylwetkę mego ojca miałem na uwadze pewien typ Polaka. Powiedziałbym, typ ciężący i płodny, z potomstwem i rodowodem. W dzienniku Tołstoja — czytałem go przed wyjazdem — znalazłem notatkę złożoną z jednego zdania: „Typ Rosjanina czystego przez brak związków z życiem”. Jest to uwaga krytyczna rosyjskiego pisarza o jednej z cech charakteru jakichś współczesnych mu Rosjan. Ta obserwacja, jej prawdziwość, nie odnosi się ani do mnie, ani do mojego ojca, mimo to czymś mnie uderzyła. Tym mianowicie, że podobny tryb wypowiedziania się w Polsce o Polakach jest niezmiernie rzadki. Zauważył pan, że zdanie Tołstoja brzmi spokojnie, mimochodem dostrzegł czyjąś właściwość, która wydała mu się cechą psychologiczną niektórych Rosjan. U nas takich typowych cech bądź w ogóle się nie dostrzega, bądź podnosi się je do rangi odwiecznej polskości. Jak gdyby w Polsce nie istniały indywidualne psychologie, tylko psychologia narodowa. Tymczasem mówiąc o moim ojcu mam właśnie na myśli pewien psychologiczny typ Polaka. Jak powiedziałem, Polaka z genealogią i kontynuacjami. Tym samym był chyba dla Tołstoja typ „nie-winnego Rosjanina” oderwanego od rzeczywistości. Być może widział w nim również jakieś tradycje i jakieś konsekwencje. W każdym razie wziął go z życia. Takie postacie wchodziły potem do literatury, ludzie rozpoznawali w nich siebie. Podobnie było we Francji czy Anglii. 4 W Polsce literatura także brała swoje postacie z życia, ale pod zastrzeżonymi warunkami. Psychologii nie analizowano w jej autentycznych ludzkich czy międzyludzkich komplikacjach. W tym zakresie działała cenzura wewnętrzna. Nie można było obciążać bohatera polskiego ro-

mansu takimi okolicznościami, które doprowadziłyby go do upadku, szaleństwa lub zbrodni. To, co zdarzało się w utworach Balzaka i Dostojewskiego, gdzie człowiek mógł wyzuć człowieka z majątku przez chciwość albo zamordować kobietę z miłości, w naszej literaturze nie było przyjęte. W polskich utworach bohater reprezentuje naród, a romans jest romanssem z ojczyzną. Przy takich ograniczeniach nie sposób ukazać prawdziwych namiętności i tworzyć pełnych charakterów. To niemożliwe, bo pewne siły kierujące ludzkim postępowaniem muszą pozostać ukryte. A muszą — gdyż właśnie one prowadzą do sytuacji znamiennych i najdrastyczniejszych. Nie ma miejsca na ujawnienie społecznych, biologicznych czy metafizycznych treści życia, jeśli w życiu bohatera one nie mogą być wyrażone do końca, jeśli trzeba się zatrzymać przed ostatecznymi konsekwencjami. Nie zwirować, nie zdradzić, nie zabić, nie zhańbić się słabością. Jak można by w takich warunkach postąpić, aby uniknąć kompromitacji przynajmniej literackiej? Rzucić się pod parowóz. Ale nawet wtedy Polaka-samobójcę ściągnie z szyn drugi Polak. Więc co pozostaje? Tajemnicze zniknięcie. A przecież w tym kraju, tak jak w innych, zdarzały się morderstwa, znieprawienia, gwałty, był egoizm, była prostytutcja. Żyli w nim ludzie, mężczyźni i kobiety, z ludzkimi grzechami i małostkami. Nie tylko romantycy i marzyciele, ale i kupcy, i fabrykanci, i kurewki. W polskiej powieści kupiec musi być romantykiem, a przemysłowiec patriotą. Przez dwieście lat jedyną żywą postacią kobiecą w polskiej literaturze był cień zmarłej dziewczynki.

— W wyniku takich lektur społeczeństwo przestaje znać siebie. Chwilami tylko jego samoświadomość przejawia się w autopamfletach. Jak pan wie, to również się mieści w naszej kulturze, która od dawna potrafi sama siebie przedrzeźniać. Mówiłem, że w Polsce istnieje kompleks prowincjonalizmu. Czasem odzywa się w nim jakaś zgorzkniała duma czy arystokratyzm, lekko perwersyjny. Przypomina to cechy podupadłych rodzin, w których sztywność się w własnej ruiny i dziwactw, ale żyć da się wyłącznie w swoim kręgu, a rodzinnych anegdot nie można opowiadać nigdzie indziej. Bo nikt z zewnątrz nie odczułby ich smaku. Taki krąg z latami się uszczelnia i przestaje wreszcie być jasne, co w nim jest z konieczności, a co z wyboru. W końcu ukazują się duchy i widma, ale tylko dziwacy, którym się one jawią, mogą pojąć ich bełkot. Bo oni jedni wiedzą, że w tych przestrożach i aluzjach, w tym mamrotaniu nie artykułowanym dla obcych, brzmi prawda. Wcale nie mniej prawdziwa przez to, że obcy jej nie rozumieją — z reguły nie rozumie

się prawd, jakich się nie musiało doświadczać. I znowu nie jest jasne: czy to są prawdy lokalne, czy uniwersalne.

— Wracając do tematu. W tym, co mówiłem wcześniej, o zahamowaniu naszej literatury, w gruncie rzeczy nie powiedziałem nic nowego. Podobnie mówiono i pisano siedemdziesiąt, a nawet sto lat temu. Ale zacząłem o tym mówić w związku z moim ojcem. Wszystkie te ograniczenia w nim tkwiły. Mam na myśli przemilczanie brzydszej części prawdy i niechęć do ostrego widzenia spraw i ludzi, jak gdyby lęk przed realnością. Wszystko to zamknięte w kształcie narodu, jak w naczyniu, które może pęknąć od zbyt zimnej albo zbyt gorącej zawartości. Gdyby mój ojciec był pisarzem, tworzyłyby taką właśnie literaturę. Mógłby być autorem wszystkich naszych wielkich powieści. Powtarzam jednak: nie innych, lecz właśnie takich i w tak szczególny sposób naznaczonych. Urodził się prawie jednocześnie z nimi, a z dzieł powstałych dawniej przejął część bardziej dogodną, to znaczy mniej krytyczną w stosunku do narodu. Nie wiem, czy w ogóle umiał nienawidzić, poza wyobrażeniem Moskala i Prusaka. Kiedy w dniu śmierci Narutowicza powiedział od progu: **t o o n i** — wydawał się mocno wzburzony, lecz nawet wtedy coś przemilczał i przed czymś się cofnął. Zapewne przed nazwą stronnictwa: było **N a r o d o w e**.

— W pierwszych miesiącach okupacji spotkałem na ulicy mojego znajomego sprzed wojny, instruktora klubu sportowego YMCA. Po mojej przygodzie na dziedzińcu uniwersyteckim zacząłem trenować boks. Instruktor nazywał się Rabczyn, był to małomówny, opanowany człowiek, podczas treningów udzielał wskazówek spokojnym głosem i rzadko się uśmiechał. Nasze spotkanie w listopadzie 1940 doprowadziło do mego udziału w konspiracji. Grupa, którą reprezentował Rabczyn, miała charakter wojskowy, a ja po złożeniu broni we wrześniu 1939 uciekłem z kolumny jeńców, dzięki czemu nie znalazłem się w oflagu. Skoro jednak istniał ośrodek kierujący walką militarną, uważałem, że nadal podlegam rozkazom. Toteż wyraziłem zgodę. Moja późniejsza działalność konspiracyjna miała niecodzienny przebieg, jakkolwiek w ramach organizacji była raczej skromna, szeregową. Do tych spraw wróć jeszcze. Przez dłuższy czas współpracowałem z Rabczynem i w ciągu paru lat zdążyłem dobrze go poznać. Mówiąc przed chwilą o moim ojcu nazwałem go płodnym typem Polaka. Otóż właśnie Rabczyn należał do duchowego potomstwa tej odmiany polskości, swymi cechami i reakcjami przypominał mi często mego ojca. To uderzające, jak silnie i uporczywie te cechy przebijają się przez

generacje i epoki. Światopogląd Rabczyna — mówię nie tyle o poglądach, co o sposobie przeżywania świata — całkowicie się mieścił w skali narodu, nie ogarniając wymiaru jednostki i ludzkości. Kiedy pewnego razu napomknąłem przy nim o chorobie mojej matki, którą podczas wojny operowano na raka, odniosłem wrażenie, że Rabczyn się zdziwił. — Tak jest — szepnął po chwili — Polacy najbardziej ucierpieli. Tak jest... — Zaskoczyło mnie to, operacja mojej matki nie była przecież objawem cierpienia narodu, jej choroba zaczęła się przed samą wojną. Musiałem przemilczeć tę nielogiczność, ale wyczułem w niej coś rodzinnego. Rabczyn był uczciwym człowiekiem, ceniłem jego twardą muskulaturę psychiczną, jego energię i odwagę. A jednak wprowadził mnie nieraz w osłupienie. Bo ten uczciwy i niegłupi człowiek — w wojnie, prześladowaniach, nędzy i osobistych ludzkich nieszczęściach dostrzegał wyłącznie polską tragedię narodową. Ilekroć zaczynałem przy nim mówić o cierpieniach Żydów, Rosjan czy Holendrów, nie przeczył, ale milczał. Podobnie milkł i stawał się roztargniony, gdy poruszyłem w rozmowie jakiś fakt świadczący o ludzkich namiętnościach. Albo udawał, że nie wie, czym jest zawiść lub próżność, albo nie wierzył w ich istnienie. Wydawało mi się to zakłamanie. Możliwe jednak, że dla Rabczyna Pan Bóg i Człowiek byli Polakami, a wszystko, co boskie i ludzkie, rośło zdrowo na polskiej ziemi, poza którą rozciągała się chorobliwa kraina psychologii i filozofowania.

— W mojej wypowiedzi będę unikał autentycznych nazwisk, ale nazwisko Rabczyna jest prawdziwe. Zginął w Powstaniu Warszawskim. Czasem się zastanawiam, jak ułożyłoby się mu życie, co robiłby i myślał dzisiaj, gdyby przeżył. Naturalnie, mógłby być emigrantem. Poza tym trudno przewidzieć, w jaki sposób okoliczności decydujące o powojennych życiorysach zaważyłyby na jego losach. W roku 1945 czy 1950 mógłby zostać aresztowany z politycznego oskarżenia, mimo że w czasie okupacji ani kiedy indziej polityką się nie zajmował. Wiele innych rzeczy także trudno byłoby przewidzieć. Ale podobne sprawy — nie tylko Rabczyna, lecz w ogóle tej odmiany człowieka w Polsce — łączą mi się z dalszym pytaniem, na które mam odpowiedzieć. Mianowicie z punktem 7 ankiety: *jaki jest mój stosunek do pojęcia wolności*.

— Skromny. I zarazem złożony. Wolność jest czymś innym dla mnie, a na pewno czymś innym była dla ludzi typu mego ojca. Być może czuli się bardziej wolni niż ja. Byli mniej świadomi. Przede wszystkim mniej świadomi siebie. Czuli się

wolni w swoich myślach i postępowaniu, nie zdając sobie sprawy, ilu zakazom jest poddane to, co myślą i robią. Zakazom odziedziczonym, niemal genetycznym. Tłumaczy się je zwykle przeszłością, obciążeniami niewoli narodowej. Ale to jest zbyt proste, aby było prawdziwe. W istocie rzeczy te zahamowania sięgają czasów sprzed niewoli. Przecież typ człowieka, dla którego wolność oznacza prawo do indywidualności, formował się w Europie poprzez konflikty społeczne i walki religijne. W Polsce zakrzykiwano je hasłami wspólnoty, najpierw stanowej, potem narodowej. W końcu zastąpiły je pozory: tolerancji i wolności, a później solidarności. Mówię „pozory”, bo wolność, tolerancja i solidarność narodowa w Polsce nigdy nie ogarniały całego społeczeństwa. Tak powstawała polska nierzeczywistość. Typ Polaka nie znajdującego siebie i świata, Polaka poczciwego, reprodukował się w ciągu pokoleń, po rozbiorach i powstaniach uzyskał jedynie perfekcyjny kształt. Nie wiem, czy mówię jasno. Lecz skoro zastanawiamy się, dlaczego nie mieliśmy Szekspira... dlaczego nie mieliśmy Moliera, Balzaka, Gogola... Pewnie dlatego, że nie mieliśmy wielkich ruchów społecznych ani scentralizowanej władzy. Anglia miała Szekspira i Rosja Gogola, lecz w obu tych społeczeństwach prawdy życia ujawniały się dobitniej niż w Polsce, bo ich historia była bezwstydniej jaskrawa. Mimo wszystkich dzielących je różnic. Ucisk despotyzmu, korupcja i nędza tworzyły w Rosji stosunek do przeznaczenia, a krwawa walka monarchii z parlamentem, mieszczaństwem, chłopstwem i Kościołem kształtowała w Anglii dramaty królewskie i ludzkie. Podejrzewam, że nie byłoby Balzaka, gdyby przedtem nie było pewnych rzeczy trywialnych czy drapieżnych, na przykład gilotyny i banków. Sytuacje, w których człowiek musi czegoś nienawidzić i czegoś się bać, czegoś chcieć, żądać i działać w jakimś kierunku, powstają z wysokich napięć społecznych. Sytuacje brutalne i groźne, ale obnażające człowieka. Zdaje się, że z takich obnażeń wynika kultura. Cała kultura współczesna jest poznaczona tymi ogromnymi śladami. Walk politycznych, egzekucji praw i interesów. Kupieckich, arystokratycznych, plebejskich. Nie tworzyli jej przecież wyłącznie artyści — również żeglarze, inżynierowie i rzemieślnicy. Tak, i filozofowie. Szkoda, że nie wiemy, ile jest w niej empirii, konkretnego, a ile z ducha. Ale wiemy na pewno, że jej idei nie da się oddzielić od jej materialności. Koniec końców na deklaracje praw człowieka pracowały manufaktury.

— Na podobne tematy w Polsce czasami się rozmawia, ale one nie weszły do historycznego doświadczenia. W psychikę ta-

kich ludzi jak mój ojciec nie były wpisane. Tacy ludzie wyjątkowo tylko wiedzieli, na czym polegają finansowe operacje banków, giełda i prawa rynków gospodarczych. Podobnie nie orientowali się w mechanizmach walki politycznej. Nie byli dziećmi cywilizacji, byli synami narodu. Niewola zniekształca obraz świata, w krajach podbitych życie ujawnia swoje prawdziwe treści nie poprzez procesy rozwojowe, lecz w momentach wybuchów i katastrof. Najwyższe napięcia w naszej historii ubiegłych dwustu lat wyładowywały się w krótkich silnych wstrząsach. Romantyzm i pozytywizm stanowiły dwa przebliski wyobraźni i świadomości, dwukrotny refleks gwałtownych przeżyć zbiorowych: powstań. Wielkim, ogólnospołecznym doświadczeniem, które przerosło swoją siłą obydwa poprzednie, miała stać się dopiero II wojna światowa. Nigdy przedtem w Polsce ludzka kondycja nie została tak do dna obnażona. Ta lekcja mogła być szkołą samowiedzy i zmienić stosunek Polaków do świata, gdyby jej sens i perspektywy nie zostały później zatarte. Ale to są już nasze sprawy. Ani mój ojciec, ani Rabczyn nie mogliby ich pojąć. Jak powiedziałem, obydwa żyli w polskiej nierzeczywistości, w sferze mitu narodowego, zamiast w realnej skali jednostki i cywilizacji. Może przez to w większym stopniu niż ja czuli się wolni. Zdaje mi się jednak, że ja — chociaż bardziej świadomy ograniczeń mojej wolności — w większym stopniu byłem wolny niż oni.

— Używam tu pewnych słów w moim subiektywnym rozumieniu. Myślę na przykład, że człowiek, który ginie za wolność, może pomimo to nie być człowiekiem duchowo wyzwolonym. Czasami odmowa udziału w walce bywa prawdziwszym świadectwem wolności niż heroiczna śmierć. Nie podaję przez to w wątpliwość siły moralnej takich aktów, jak powstania czy buntury społeczne. Sądzę, że nie ma potrzeby tego uzasadniać. Niektóre wystąpienia, jakkolwiek mniej znane, przekraczają determinację i odwagę wszelkie przykłady bohaterstwa. Nie wiem, czy słyszał pan kiedyś o polskim powstaniu, które wybuchło na Syberii w roku 1866. Było przygotowane, miało nawet własną tajną prasę. Zorganizowali je zesłańcy przebywający na katordze po Powstaniu Styczniowym, organizacja przybrała nazwę Syberyjskiego Legionu Wolnych Polaków. Przywódcą był warszawski pianista, który stanął na czele siedmiuset polskich katorżników i utworzył z nich oddział konnych kosynierów. Legion został rozbity w bitwie nad Bajkałem, dowódców rozstrzelano. Książę Piotr Kropotkin pisząc o tym twierdzi, że w odróżnieniu od Polaków rosyjscy zesłańcy poddawali się biernie

losowi. W przypisach redaktor polskiego wydania karcii autora za niesprawiedliwość względem Rosjan : bunt zesłańców rosyjskich był także przygotowywany, do wybuchu jednak nie doszło wskutek zdrady jednego ze spiskowców. Chciałbym jeszcze powtórzyć za autorem, że po stłumieniu polskiej insurekcji nad Bajkałem reżim w katordze zelżał i traktowanie Polaków znacznie się polepszyło.

— Mówię o tym, w dalszym ciągu mając na uwadze pytanie kwestionariusza dotyczące mojego stosunku do pojęcia wolności. W czasie naszej rozmowy wypytywał mnie pan o zakres swobód politycznych istniejący dziś w Polsce. Zadał mi pan między innymi pytanie, które zresztą jest umieszczone w ankiecie: *w jakich formach uzewnętrznia się świadomość narodowa mieszkańców mego kraju.* Jak pan zauważył, odpowiedziałem wymijająco. Nie dlatego, że w Polsce o tym się milczy. Naród, ojczyzna, patriotyzm to słowa, które wygłasza się u nas często i chętnie, w telewizji i w prasie. Ale siedząc naprzeciw pana w tej zacisznej winiarni na placu Rubensa zdałem sobie sprawę, że musiałbym panu szczegółowo wyjaśniać okoliczności trudne do zrozumienia. Do zrozumienia dla kogoś z zewnątrz, a do sformułowania nawet dla mnie. Dzisiaj w Polsce potrzeby narodowej świadomości zaspokajają się głównie metodą wizualną. Kręci się filmy z epoki Piastów albo przerabia na ekran powieści Sienkiewicza. Widz może przez trzy godziny oglądać polskiego bohatera z ryngrafem i szablą, któremu nie dali rady Tatarzy i Szwedzi. Czuje się utwierdzony w polskości i wsparty o historyczne tradycje. Po wyjściu z kina może przeczytać w gazecie recenzję, która podbuduje jego samopoczucie. Recenzję przenikniętą staropolską nutą, sentymentalnie patriotyczną. Recenzji, która by mu powiedziała, że nie istnieje współczesny patriotyzm bez świadomości praw człowieka i że wolność narodu zależy od realizacji tych praw, widz w żadnej gazecie nie znajdzie. Seans się udał. Synowie robotników, chłopów i inteligentów pracujących siedzą w rzędach zapatrzeni w udźwiękowiony i barwny cień herbowego szlachcica na koniu. Owszem, to jest niesamowite.) Zwłaszcza jeśli zważyć, kiedy i gdzie się to dzieje: w Polsce, w trzydzieści lat po objęciu rządów przez obóz reform, który w swych deklaracjach ideowo-politycznych nawiązywał do tradycji polskich jakobinów i proletariatchyków. Aby wytłumaczyć zagadkę tego seansu, musiałbym pana wtajemniczyć w wiele innych zagadek. Nowe okoliczności i manipulacje, na skutek których w Polsce rządzonej przez komunistów sfilmowana obrona Częstochowy stała się patriotycznym alibi dla aparatu

obecnością, wobec której muszę się jakoś zachować, podczas gdy ja chcę właśnie od niej odpocząć, od jej powielenia, od jej chodzącej, krzyczącej i jeżdżącej masy, i wystarczy mi ruchomy ludzki cień na szkle. Albo na płótnie. Do kina chodzę jak na spotkania z życiem. Nie wiem, na ile się orientuję w obecnych prądach i kierunkach, po prostu najbardziej mnie pociąga to, że film nie przestał wierzyć w życie. Miarą rzeczy jest dla niego realność, to co się zdarza człowiekowi wśród ludzi. Nie wątpi o tym ani w swoich zachwytach, ani w obrzydzeniach, tak jak nie wątpiła o tym dawna powieść. Wierzy w życie, podczas gdy teatr uwierzył w sztukę i dąży do artystycznej transcendencji.

— Nie, niczego nie przewiduję, nie jestem futurologiem, od czasu do czasu tylko wpada mi do głowy jakaś obserwacja. Nie żyjemy w wieku syntez, brak nam wielkich porządkujących myśli, wszystko jest chaotyczne, kurczowe, cała dzisiejsza kultura przypomina zbełtaną materię, z której wyskakują pękające bąbelki i nikną. A jeśli wszystko to wzbiera i kiedyś runie potężnym nurtem, podmywając miasta i wzbijając się ku niebu... jeśli to się kiedyś scali w wyzwalającym Słowie-Mysli-Kształcie-Tonie... Wtedy się okaże, że my żyliśmy w królestwie nieszczęśliwych głupców. Czy kultura bez łaski uniwersalnej pewności w ogóle może istnieć? Poza Kościołem Powszechnym? Przecież teatr i świątynię zawsze łączyły bliskie związki.

— Dlaczego zacząłem o tym mówić, właściwie nie wiem. Może, tak, zdaje się, wspomniałem na początku, że w moich studenckich latach opętał mnie teatr i że byłem przez jakiś czas statystą teatralnym. Pewien kolega, któremu się to znudziło, polecił mnie znajomemu reżyserowi. Wkrótce po moim wypadku na uniwersytecie zacząłem statystować w jakiejś angielskiej sztuce psychologicznej, akcja rozgrywała się w XIII wieku we Flandrii. Później występowałem w „Weselu” jako parobek, w sukmanie i z kosą. Był to w moim życiu okres lekkiego pomylenia. Żyłem naprawdę bezinteresownie. Zdawało mi się, że jedną ręką wybieram, a drugą odrzucam, szedłem za węchem, za ciekawością. To nie oznaczało, abym nie przestrzegał jakichś zasad gry, ale miałem już własne, prywatne. Z prawa przeniósłem się na filozofię. Czułem się wolny.

— W tym okresie nie mieszkałem już z rodzicami. Przy którejś wigilijnej kolacji ojciec jak zwykle zaczął recytować z pamięci opis śmierci Podbięty w obłożonym Zbarażu. Znosiłem to od lat, tym razem wytrzymałem do momentu załzawionego chrząkania. Wtedy z sadystycznym spokojem napomknąłem o pacyfikacjach ukraińskich wsi dokonywanych przez naszą ka-

walerię i o niedawnej wizycie Goebbelsa w Belwederze. Wybuchła awantura, ojciec rzucił się na mnie z laską. Mocując się z nim widziałem jego apoplektycznie zaczerwioną twarz, całą w drgawkach. Było mi go żal, mimo to dysząc mówiłem jeszcze o bezrobociu i fałszerstwach wyborczych. W parę dni później wynająłem tani sublokatorski pokój i wystarałem się o korepetycje. Z ojciem przeprosiliśmy się, ale zacząłem żyć na własną rękę. W porównaniu z moim życiem dzisiejszym żyłem wtedy bardziej „w naturze”, w sposób mniej zaszantażowany wiedzą o koniecznościach — mniej poinformowany. Prawa ekonomii, historii, sens istnienia, śmierć, zarówno jak moja osobista przyszłość i jak krój mojej marynarki, wszystkim tym niezbyt się przejmowałem. Zaprzyjaźniłem się z suflerką teatralną, która była Świadkiem Jehowy. O ile pamiętam, w tym czasie uważałem człowieka za jedną z form istnienia powszechnego, za istotę b y t n ą, czyli zdolną do wcielania się w materię. Chodziłem na próby i nawiązywałem znajomości z aktorami. Statyści oraz drugorzędni aktorzy przesiadywali w cukierence obok teatru, cieszyłem się tam pewną sympatią, jaką zwykle darzy się wykołajeńców o dobrych manierach, zwłaszcza jeśli wolą słuchać niż mówić. Niewiele brakowało, a stałbym się jednym z typków, postaci snujących się wokół przedwojennych teatrów i scenek. Niektóre przetrwały do dziś, rodzaj złapanych owadów, przypiętych do plansz. Ten sposób egzystencji miał swoje uroki. Teatr jest czymś mniej powszednim od rzeczywistości, nawet gdy mowa o jego trybie właśnie powszednim, roboczym. Dzisiaj wiele ubyło z tej pomieszanej atmosfery cyrku, konfraterni cechowej i sanktuarium sztuki. Odpadła fantastyczność, więcej organizacji i urzędowania. Często grywałem w bilard z aktorami. Stanowili małą, skandaliczną ludzkość. Interesowała mnie ich mitomania i kabotyństwo, wewnętrzny brak powagi. Właśnie to w nich lubiłem. Utratę powagi, niby dobrowolną i świadomie wybraną. Każdy sprzedałby duszę dla kawału, to święta prawda, ubóstwiali zabawę! Ale przy tym byli prawdziwsi niż inni, mieli na wierzchu wszystkie ludzkie słabości i nieraz przechodziło mi przez myśl, że chociaż ich zawód polega na udawaniu, to w gruncie rzeczy mniej udawali niż tak zwani ludzie poważni. Na scenie grali bogów, rozpustników, pocziwych wujaszków, i wcielając się w coraz to inną postać zapewne oswajali się z tym, co w człowieczeństwie jest wielorakie. Naśladowali kształty grzechów i cnót, z wieczoru na wieczór zmieniali twarze, głosy, uczynki, a w końcu dochodzili do jakiejś granicy, poza którą jest wszystko i nic. Wszystko jest prawdą i nie nie jest fałszem, wszystko jest fałszem

i nie jest prawdą. Poza tą granicą przestaje istnieć wstyd. Myślę, że byli wolni od wstydu bytowania, tak jak wszystko w naturze prócz człowieka. Nie pamiętam, w której sztuce Szekspira, może pan sobie przypomni, ktoś wygłasza zdanie: „Hańba błaznowi daje bezpieczeństwo...” Brzmi w tym pokorna bezsilność i rozpaczliwa дума, takie zdanie mógł napisać tylko aktor. Potrafiłem godzinami obserwować ich ruchy i miny, w których zdradzał się przedrzeźniony zamiysł dramatu czy tragicomedii. Dla nich zresztą niewidzialny albo obojętny.

— Poznałem bliżej jednego z nich, mężczyznę o bardzo jasnych i zawsze uśmiechniętych oczach. Była to trochę ekscentryczna figura, aktor nie znakomity, lecz z uznaną pozycją w środowisku teatralnym, którym poniekąd gardził. Jak mówiono, fascynująca osobowość. Nie mam pojęcia, dlaczego mnie polubił i czy istotnie polubił. Z początku podejrzewałem go o homoseksualizm, tę myśl nasunęła mi jego drobnokoścista otyłość, miał małe stopy i ręce. Zapraszał mnie po próbach na przejażdżki dorozką w Łazienkach i na przykład opowiadał, że jest jedynym prawdziwym impotentem w Polsce. Twierdził, że w zasadzie impotenci nie istnieją, z wyjątkiem rzadkich wypadków kopnięcia przez konia wymyśliły ich zaniekony żony. Aktorów lekceważył, pytał, czy mi wiadomo, że do niedawna chowano ich w niepoświęcanej ziemi. Mówił poufnie, nosowym, przytłumionym głosem, a w następnym zdaniu namawiał, żebym rzucił uniwersytet i wstąpił do szkoły dramatycznej. Wyjaśniał, że w aktorstwie talent polega na fizycznym promieniowaniu, zapamiętałem jego powiedzenie: aktor to urok anatomii. Budził sympatię i zarazem intrygowało w nim coś zatajonego, wieloznacznego, co zagadywał swoją inteligencją. Jakaś arogancka a zarazem wyszukana sprzecznosc, nigdy nie miałem pewności, czy rozpoczynając zdanie wiedział, jak się skończy.

— Dziwi pana, że aż tak daleko zboczyłem od tematu? Ale ta dygresja mimo wszystko się wiąże z punktem 7, do którego mam wrócić. A poza tym, czy pamięta pan, co powiedziałem na początku pierwszego nagrania? Powiedziałem, że ja także czegoś od siebie oczekuję. Przypuścimy, wyjaśnienia kilku niewyjaśnionych spraw. Otóż jedną z nich był z pewnością ten człowiek, którego lubiłem, a nawet jakoś podziwiałem, i któremu do dzisiaj współczuję. W czasie okupacji został zastrzelony z mojego pistoletu, ale zgubił się sam. Myślę, że w gruncie rzeczy nie był człowiekiem naprawdę złym, zresztą co to jest człowiek naprawdę zły, może ten, który uważa wszystkich ludzi za złych i wyrządza zło uprzedzając czy broniąc się przed domniemanym złem po-

wszechnym. I prawdopodobnie wynika to nie tyle z rozumowego przeświadczenia, co z napiętnowania, strachem, rozpaczą, nienawiścią. Bywają jednak przypadki, gdy człowiek czuje się gorszy od ludzi, kiedy ma wewnątrz jakby miękką, gnijącą pestkę, która go zatruwa — i robi wtedy wszystko, żeby ją ukryć, również przed sobą samym. To się często udaje, zwłaszcza w bezpieczniejszych, jak się to mówi, normalnych czasach. Albo się nie udaje, w mniej bezpiecznych. Myślę, że to był właśnie taki przypadek. Ale w związku z pytaniem w punkcie 7 będę jeszcze musiał o nim wspomnieć.

— Pytanie jest następujące: *Czy kiedykolwiek podjął pan decyzję, którą uważa pan za decyzję wolnego człowieka? To znaczy za wolną od przymusu (również w znaczeniu konwencji lub uwarunkowań natury zbiorowej), za decyzję w pełni swobodną? Czy wykonał pan tę decyzję?*

— Mógłbym odpowiedzieć: tak. Jeśli najkrótsze odpowiedzi byłyby pożądane. Domyślam się jednak, że idzie tu o ich rozwinięcie i uzasadnienie. Dobrze. A więc podjąłem i wykonałem taką decyzję. Przynajmniej raz jeden. Czy była to decyzja w pełni swobodna? Z pewnością, w chwili jej podjęcia. Była spontaniczna i nie tylko wolna od przymusu, lecz właśnie podjęta wbrew społecznym uwarunkowaniom. Łamała konwencję. Czy to oznacza, że była decyzją człowieka wolnego? Powiedziałem: w chwili jej podjęcia.

— Nie chcę mówić zagadkami, będę się streszczał. Naturalnie, w miarę możliwości. Nie uniknę przy tym pewnych tematów osobistych, ale może ta szklanka whisky, którą mam jeszcze w organizmie...

— O moim udziale w konspiracji mówiłem już przedtem. Przez dziesięć miesięcy ćwiczyłem grupkę licealistów w obchodzeniu się z karabinem i granatem ręcznym. Później przez jakiś czas obsługiwałem radiostację nadawczą w piwnicy na Żoliborzu, a od marca 1943 zacząłem szkolić nowych adeptów, tym razem w taktyce walk ulicznych. Rzecz była poza wyborem, jak gdyby niezależna od „chcę” czy „nie chcę”, przyjmował ją instynkt. O Polakach ktoś się wyraził, że nie wiadomo, czy mają piątą klepkę, ale na pewno mają szóstą. Tą szóstą jest chyba wspólny instynkt narodowej samoobrony. To mam na myśli twierdząc, iż rzecz była poza strefą wątpliwości. Również dla mnie: odczuwałem ją jako oczywistą konieczność, jednocześnie i równoległe z moimi irytacjami na sarmatyzm. Okazało się, że moje pojedyncze ja jest uwięzione w wielkim ja

zbiorowym, którego szum zagłuszył moją świadomość. Ojciec mógł ze mnie być dumny, wyrosłem na spadkobiercę jego bohaterów. Kto wie, czy nie miał racji i czy w istocie nie odziedziczyłem rodzinnych genów. Bo nie wykluczone, że na przekór moim domowym wystąpieniom moja główna oś psychiczna była rozpięta na narodowym krzyżu. Ale jakby do góry nogami.

— Kampanię roku 1939 oceniałem dość trzeźwo. Polska od pierwszego do ostatniego wystrzału broniła się 38 dni. Gdyby nie wkroczenie armii radzieckiej 17 września, obrona przedłużyłaby się pewnie do dwóch miesięcy. Francja i Belgia wraz z brytyjskim korpusem ekspedycyjnym broniły się krócej. Jak na kraj nie uprzemysłowiony, geograficznie odłonięty i nie przygotowany do wojny nowoczesnej, a w dodatku wzięty z dwóch stron, nie było powodu do uczucia hańby. Wynik nie mógł być inny. Pamiętam, jak opalając się na basenie „Legii” usłyszałem przez głośnik wiadomość o zawarciu paktu Ribbentrop-Mołotow i mimo sierpniowego upału nagle zacząłem marznąć. Także później nie miałem większych złudzeń. Szanse walki zbrojnej w warunkach okupacji wydawały mi się kruche, przynajmniej w znaczeniu ogólnostrategicznym. Konspiracyjna robota wojskowa moim zdaniem nie mogła zaważyć na ostatecznym rozstrzygnięciu wojny. A jak pan wie, straty były olbrzymie. Cały podziemny ruch oporu, niezależnie od kierunków politycznych, przechylał się w stronę „wojskówki”. Nowe roczniki tworzyły młodocianą armię, wprost z tajnych klas gimnazjalnych uczniowie biegli na lekcje wykolejania pociągów. Obserwowałem to z rozdwojonymi uczuciami, równocześnie szkoląc podchorążych. Prawie z reguły byli przedłużeniem polskości nieświadomej spraw świata. Ginęli pod murami domów i w obozach śmierci lub rozszarpywani w czasie śledztwa przez psy. Ginęli bez poglądów na urządzenie przyszłego społeczeństwa — z najprostszyimi pojęciami o wolności i sprawiedliwości. Kiedy próbowałem z nimi rozmawiać o reformie rolnej czy ustroju państwa, zwykle kończyło się na jakimś niepewnym „po wojnie to rozwiążą”. Były to dla nich problemy do załatwienia przez innych i na później, o których nie mówiono im ani na tajnych kompletach, ani na żołnierskich odprawach. Ponad nimi istniało anonimowe dowództwo, a oni byli armią. Zdawałem sobie sprawę, że skoro jest armia i dowództwo, musi dojść do bitwy. I doszło. Do bitwy, w której zginęło ćwierć miliona ludzi wraz z miastem. Gdyby dziś żył mój ojciec, nie lubiłby o tym rozmawiać. Jest wiele przyczyn, lub raczej względów, by się powstrzymać od zarzutów — względów niezmiernie delikatnych,

nad wyraz złożonych. Zresztą ja także wypowiadałam się w tej sprawie dość niechętnie. Może właśnie z szacunku dla jej złożoności i z poczucia narodowego taktu, który w Polsce każe okrywać milczeniem zbyt drastyczną świadomość. Ale to, o czym chcę powiedzieć, wiąże się z wcześniejszą datą.

— We wrześniu 1943 zaproponowałem pewnej młodej kobiecie wstąpienie do organizacji. Znałem ją od paru lat, przyjechała z prowincji, na trzy miesiące przed wybuchem wojny przyjęto ją do warszawskiej szkoły dramatycznej. Sprawa z tą kobietą była dla mnie ważna, przez dłuższy czas — najważniejsza. Wciągając ją do konspiracyjnej roboty miałem określony cel. Jak się pan przekona, nie tylko patriotyczny i niezupełnie egoistyczny. Kilka tygodni przedtem ktoś z jej bliskich umarł w Oświęcimiu, od tego czasu żyła jak w opętaniu, zaczęła pić i szukać, po pijanemu, kontaktu z podziemiem. Wiedziałem, że go znajdzie, o takie kontakty nie było wtedy trudno. Zwłaszcza dla niej: pracowała jako kelnerka w kawiarni „Melpomena”, w której przez pewien czas byłem szatniarzem. Bywali tam ludzie o nader rozmaitych zajęciach, między innymi mój znajomy — inteligentny jasnooki aktor, o którym wspominałem. Nie o niego mi jednak chodziło: wiedziałem, że lokal jest punktem kontaktowym różnych ugrupowań konspiracyjnych. Miałem przy tym pewność, że właśnie ona do konspiracji nadaje się najmniej. Była trochę narwana i zanadto ambitna, a jednocześnie zbyt ufna. W życiu towarzyskim o takich kobietach mówi się „urocze wariatki” i jeśli poznaje się je na plaży — a ja poznałem ją na plaży — można z nimi daleko popłynąć, nie czują lęku przed głębią. Jej cech, wtedy jeszcze, nie byłem zdolny widzieć obiektywnie, wiele tłumaczyłem fantazjami osoby utalentowanej. Myślę, że naprawdę miała talent. Wiedziałem jedno: że takie dziewczyny werbowano do wywiadu. Dręczyły mnie złe przewidywania i na przemian wyobrażałem ją sobie zagryzioną przez policyjne owczarki albo gwałconą przez gestapowców. Przez dwa tygodnie wysłuchiwałem jej zwierzeń, do chwili gdy napomknęła mi o jakiejś nowej znajomości i rozmowie. Był to wrzesień 1943 roku, miała wolny dzień, siedzieliśmy w knajpie na Mazowieckiej. Wypiłem kieliszek wódki i powiedziałem, że mogłaby być nam potrzebna. To nam zrobiło na niej wrażenie, nie wpadło jej do głowy, że zajmowałem się czymkolwiek poza nią. Zgodziła się od razu. Moja rola natomiast była znacznie trudniejsza. Musiałem stworzyć fikcję, skonstruować pozory. Aby ułatwić jej autentyczny kontakt, wystarczyłaby jedna moja rozmowa z Rabczynem, ale że byłem

zdecydowany do tego nie dopuścić, pozostawało mi jedyne wyjście: związać ją z organizacją, która nie istniała. Tę właśnie decyzję miałem na uwadze w odpowiedzi na pytanie ankiety. Niezależnie od późniejszych następstw uważam ją za akt indywidualnej wolności. Albo — za chwilę wolności. Wszystko to na pewno wyda się panu dziwaczne i niezbyt zrównoważone. Rozumiem. Wiedziałem jednak, co robię. Od trzech lat byłem w konspiracji i wiedziałem, czym jest konspiracja. Znałem jej koszty własne. Te, których nie przedstawia się w filmach i których nie podają kombatancki.

— Upredziłem, że nie da się tu pominąć moich spraw osobistych. Zresztą czy w ogóle istnieją sprawy nie osobiste? Mówiąc o czymkolwiek zdradzamy się z tym, o czym nie chcemy mówić, czego się obawiamy i przez co cierpimy. Nie zdradza nas tylko milczenie, ale właśnie milczenie jest najtrudniejsze. Zawsze podziwiałem ludzi, którzy opanowali tę sztukę — umieć milczeć to prawie tyle, co zachować siebie na własność. Nie wiem, czy pan zauważył, jak niebywale trudną rzeczą jest nie odpowiedzieć na czyjeś pytanie. Mówimy, bo mówienie jest naszym byciem, słowami dowodzimy sobie własnej egzystencji. Ale też wydajemy się w cudze ręce. Od trzech dni nie robię nic innego. Nagrywając moje odpowiedzi, przez cały czas mam to podwójne uczucie: satysfakcji wchodzenia w pułapkę. Pokusy są wielkie. Na przykład pytania zawarte w punktach 12-15. Określiłem je jako „grupę metafizyczną”. Nie istnieją pytania bardziej osobiste! Jedno brzmi: *Czy w regulach etycznych, jakie stosuje pan w życiu, zawiera się czynnik religijny? Czy w swoim postępowaniu i myślach uwzględnia pan możliwość istnienia pozagrobowego (np. pośmiertnej nagrody i kary) i czy łączy pan ideę Boga z pojęciem Dobra i Zła?* Przychodzi mi na myśl wstępna instrukcja udzielana na kursach dla uczestników wypraw arktycznych: egzamin nie jest trudny, wystarczy wrócić z niego żywym.

— W ciągu wielokrotnych przesłuchań po roku 1945 byłem zmuszony określić moją postawę ideowo-polityczną w latach przedwojennych i wojennych. Kilkanaście razy kazano mi pisać szczegółowy życiorys, a po złożeniu uzupełniających wyjaśnień musiałem go zacząć od początku. Z tego egzaminu wróciłem żywy, co jak wiadomo nie było regułą. Pytania dotyczyły przede wszystkim moich powiązań organizacyjnych. W czasie przesłuchań odnosiłem wrażenie, że chodzi nie tyle o mnie, co o typowy egzemplarz, który ma potwierdzić z góry założoną tezę. Na szczęście okazałem się niezupełnie typowy, może właśnie dzięki

temu, że upierałem się przy metafizycznych motywach mojego postępowania. Kiedy mnie pytano, dlaczego w roku 1940 wstąpiłem do organizacji, odpowiadałem: „Ponieważ wierzyłem w Boga”. Zdaje się, że w końcu uznano mnie za wariata, a przecież jeśli się dobrze zastanowić, mój udział w konspiracji miał podłoże etyczno-religijne. Oczywiście Zła była w tych latach nieodparta, pojęcie Dobra stało się jednoznaczne. Sprawy sensu życia i stosunku do śmierci nigdy przedtem nie były tak proste jak wtedy, w tym biało-czarnym czasie. Możliwe jednak, że musi go poprzedzić koniec świata. Rano w przeddzień wybuchu wojny ludzie spokojnie czekali na przystankach, młode kobiety, opalone jeszcze po wakacjach, nosiły lekkie, barwne suknie. Przeczytałem niedawno czyjś opis Warszawy w porannych godzinach 31 sierpnia. Autor zapamiętał wiele szczegółów, między innymi ładną pasażerkę malującą sobie usta w tramwaju. Teraźniejszość do końca wprowadzała w błąd, po czym rozsypała się w jednej chwili. Jeżeli w mleczarni, w której piło się kefir, leżą ranni, to znaczy, że jakaś rzeczywistość nigdy już nie wróci. Tak właśnie było. Chwila pęknięcia czasu i ogłupienia wobec łatwości, z jaką urywa się porządek dni i lat. Zapamiętałem odtąd, że wystarczy kilka dmuchnięć, aby pogasły światła i pod nogami zgrzytnęło szkło — nazajutrz zaczyna się myśleć o dotychczasowej egzystencji jak o optycznym złudzeniu. Ale powtarzam, może to jest potrzebne, aby uwzględnić możliwość życia pozagrobowego. Jeszcze jeden nietrudny egzamin, z którego wystarczy wrócić żywym. Skoro się jednak wraca... Tak, w gruncie rzeczy do organizacji wstąpiłem po to, żeby walczyć z diabłem. Ale takich wyjaśnień po wojnie słuchano niechętnie.

— Cały dzień obrad mojego kongresu zeszedł na referatach i dyskusji, dopiero teraz w hotelu wzięłem gorący natrysk. Ale obawiam się, że nie uda mi się dziś zebrać myśli. Nie wiem, od czego zacząć i na czym wczoraj skończyłem. Miałem zdaje się mówić... Prawda, o wojnie. Co za klimat! Czy tutaj zawsze wieje ten dziki, zasolony wiatr? Efekty chwilami są melodramatyczne, dzisiaj jakiś Francuz przemawiał w trąbie powietrznej. Przemówienie skądinąd znakomite, na temat humanistycznej odwagi, która towarzyszy ludzkości w jej współczesnych zdobyczach. Wyraził się: zawrotnych i przerażających. Oracja w stylu francuskim, patetyczno-intelektualnym. Zakończył ją wspomnieniem ze studenckich lat, kiedy uprawiał wspinaczkę w Alpach szwajcarskich i na trudniejsze szlaki prowadził go przewodnik, olbrzym, nazwiskiem Ringele. Wdrapując się po stromej ścianie

Francuz czuł lęk przed wysokością, krzychał wtedy do przewodnika: „Ringele! kręci mi się w głowie!” Na co Szwajcar obracał się ku niemu wołając: „A niech się kręci! Schwindel' frei!” i ciągnął go w górę na linie. Francuz chciał pewnie powiedzieć, że gdy odczuwamy strach na widok przepaści, jaka się pod nami otwiera w miarę pokonywania szczytu, i kiedy chcemy zawrócić, bo kręci nam się w głowie, powinniśmy wznieść ten okrzyk: „A niech się kręci! Schwindel' frei!” Ładna metafora. I przy tym proszę sobie wyobrazić, że w trakcie przemówienia za oknami auli ryczał wicher. Naturalnie, owacje były zasłużone.

— Przypominam sobie: mówiłem o wrześniu 1943. Mniej więcej w tym okresie doszły mnie wiadomości o zabójstwach dokonywanych wewnątrz podziemia. Opowiadano, półgłosem, że działają jakieś komórki czy sądy kapturowe, w terenie konkurencyjne odpryski rozmaitych ugrupowań organizowały wzajemne zamachy na siebie. Na wschodzie Niemcy oddawali miasto za miastem, front się przybliżał. I problem, kto będzie rządził w Polsce. To był ciężki okres. W całym podziemiu staowało się duszno, weszono dywersję, wtyczki. W jednostce, do której należałem, wykonano wtedy omyłkowo wyrok śmierci, zginął również uczestnik grupy egzekucyjnej. Dziś nadal nie jest jasne, z jakich źródeł wyszły oskarżenia, zlikwidowany człowiek był niewinny. Wszystko to w pewnej mierze tłumaczy, dlaczego postanowiłem trzymać tę dziewczynę z daleka od konspiracji. Powiedziałem jej, że będzie pracować w ośrodku informacyjno-wywiadowczym pod kryptonimem „Rondo”, podległym bezpośrednio Naczelnemu Dowództwu, i że ze względu na szczególną wagę zadań obowiązują w nim specjalne metody tajności. Przy sięgę złożyła na moje ręce. Wybrała sobie pseudonim „Mewa”, była to chyba aluzja do pewnej dzikiej ptaki.

— Mistyfikacja nie nastęrczała większych trudności, przynajmniej z początku. Poleciłem jej obserwować jakiegoś adwokata, starszego pana, o którym wiedziałem jedno: że jest nieszkodliwy. Po miesiącu znałem każdy jego krok. Podała mi nazwiska osób, z którymi się spotykał, i sprawy, jakie prowadził. Wynajęła pokój w mieszkaniu naprzeciw jego kancelarii. Pewnego dnia zawarła z nim znajomość w windzie, nazajutrz przysłał jej kwiaty. Pracowała bez zarzutu. W ciągu sześciu tygodni obserwacji uzyskałem pewność, że ten człowiek ma powiązania z Kierownictwem Walki Cywilnej. Kazałem jej się natychmiast wycofać i zmienić lokal. W jakiś czas później udzieliłem

jej nagany, bez mojej wiedzy poszła na jego pogrzeb. Z ciekawości. Znalaziono go w windzie, przyczyną mógł być atak serca. Dowiedziałem się tego od niej samej i nie zdążyłem ukryć zaskoczenia. Przyglądała mi się z podziwem, nie miała wątpliwości, że wspaniale udaję. Odtąd zacząłem ją wysyłać na prowincję z walizką wyładowaną moimi starymi książkami, za każdym razem do innego miasta. W Krakowie czy w Lublinie zostawiała walizkę na dworcu w przechowalni, kwit nadawała listem miejscowym na poste restante dla nie istniejącego adresata, po czym najbliższym pociągami wracała do Warszawy. Wybierałem przeważnie jej wolne dni w kawiarni. Wbiłem jej w głowę instrukcję co do niezbędnych środków konspiracji i nawet wyglądu zewnętrznego. Przede wszystkim nie rzucać się w oczy. Zabroniłem jej używania kosmetyków — nigdy nie było wiadomo, kiedy uczerni albo wygoli sobie brwi — oraz nawiązywania przygodnych znajomości. Pouczyłem ją także, jak ma się zachować na wypadek rewizji w pociągu: twierdzić, że książki są przeznaczone na sprzedaż w antykwariacie. Były to powieści kryminalne w kilku językach. Najogólniej dałem jej do zrozumienia, że w interliniach mieszczą się meldunki „Ronda”, zaszyfrowane systemem znaków możliwych do wywoływania jedynie metodą chemiczną. Reszty pozwoliłem jej się zaledwie domyślać: że to są informacje, które dotrą różnymi drogami do Londynu. W ten sposób przy pełnej gwarancji bezpieczeństwa zaspokajałem najostrzejsze pragnienia „Mewy”. Traciłem jednak walizki. Znajomi, od których wyłudzałem zużyte fibrowe graty, byli pewni, że szmuglują słońcę. Dziś brzmi to zabawnie, ale wtedy walizki śniły mi się po nocach. A w dodatku „Mewa” nie zawsze była roztargniona, miewała chwile przenikliwej intuicji. Musiałem dbać o reżyserię, stwarzać nieustannie wrażenie, że jakaś siatka przerzutowa naprawdę istnieje. Z początku i z tym nie było komplikacji. Wynajmowałem rikszaży. Rikszaż przywoził do mnie walizkę o określonej godzinie, „Mewę” wzywałem na nieco wcześniejszą. Wszystko odbywało się w milczeniu, mówiło się o tym: „przyjęcie towaru”. Raz posłużyłem się moim ojcem. Wkroczył punktualnie, z walizką, w binoklach i w kolejarzkiej czapce. Od dawna jej nie nosił, ale widocznie tego dnia uznał ją za przemysłny sposób konspiracji. Potem wyprawiałem „Mewę” na dworzec z „towarem”.

— Czy byłem pomyłony? Nie, po prostu nie chciałem jej stracić. Pierwszy błąd popełniłem w lutym 1944. Było mi jej żal, zmizerniała, męczyły ją podróże. Zdecydowałem się wtedy przyjąć do siatki dwie nowe osoby. Potem jeszcze doszło parę

innych. Inscenizowałem odprawy i udało mi się rozwiązać kłopoty ze zdobywaniem walizek. Wpadłem na pomysł jednej walizki. Mój kurier przewoził ją do miasta X., zostawiał w przechowalni na dworcu i wrzucał do skrzynki pocztowej kopertę z kwitem. Po jakimś czasie do miasta X. przyjeżdżał inny mój kurier, zgłaszał się na poste restante, wykupywał walizkę z przechowalni i wracał z nią do Warszawy. Był to więc obieg zamknięty. Walizka zależnie od kierunku zmieniała swoją symboliczną zawartość: stare gazety, „Tajemnica żółtego pokoju” i „Perfomy czarnej damy” w jedną stronę jechały jako mel-dunki „Ronda”, w drugą — jako instrukcje ze zrzutu od Naczelnego Dowództwa.

— Przełom nastąpił w kwietniu. Tylko w tragediach i groteskach wypadki toczą się z tak błyskawicznym końcowym przyspieszeniem. Dwaj nieznajomi ludzie zgłosili się do mnie w dniu, w którym spostrzegłem, że ze skrytki zniknął mój pistolet. Rano tego samego dnia „Mewa” telefonicznie poprosiła mnie o rozmowę w nagłej sprawie. W jednym dniu odbyłem dwa spotkania, obydwaj w kawiarni „Melpomena” na ulicy Przeskok. Pierwsze trwało godzinę. Żądano ode mnie, abym się podporządkował organizacji „Myśl i Czyn” i przekazał jej kierownictwo strukturę kontaktów przerzutowych „Ronda”. W trzy godziny później „Mewa” oddała mi mój pistolet i zawiadomiła mnie o unieszkodliwieniu pewnego człowieka, który współpracował z gestapo. Był to nasz wspólny przyjaciel — jasnooki aktor o małych rękach i stopach. Oba fakty nie miały ze sobą powiązań, ale moją fikcję zakończyły dwa strzały. Drugi strzał przeznaczony był dla mnie. Organizacja „Myśl i Czyn” wykonała na mnie nieudany zamach w tramwaju, po odrzuceniu jej żądań. Kula drasnęła mi ramię. Wszystko to rozegrało się w ciągu pięciu dni. „Rondo” zawiesiło działalność. Do dziś nie mam pojęcia, dlaczego wpadł mi do głowy ten kryptonim.

— Pomiąłem wiele szczegółów, chcę jednak trzymać się tematu. Reasumując: decyzja, którą podjąłem wbrew okolicznościom, uległa mechanizmowi tych okoliczności. Wymyśliłem rzecz nie istniejącą, aby oddalić niebezpieczeństwo, a okazało się, że wymyśliłem sposób przyciągnięcia niebezpieczeństwa. Konstruując fikcję byłem wolny, realizując ją stałem się zależny. I w rezultacie sam spełniłem to, czego chciałem uniknąć. Wnioski?

— Żadnych. Tę dziewczynę, przerażoną i rozdygotaną, ode-słałem do jej rodziców na prowincję. Była w ciąży. Gdyby nie moja mistyfikacja i jej finał, gdyby nie szok nerwowy, jakiemu

wówczas uległa, najpewniej zginęłaby w Powstaniu. Urodziła córkę. Ten złapany aktor, który ją straszył gestapo i z którym łączyło ją więcej niż bliska znajomość — o czym powiedziała mi dopiero w trzy lata po wojnie — miał informacje o moich kontaktach z Rabczynem. Gdyby się przed nią nie był zdradził, mógłby je wykorzystać. Ci, którzy do mnie strzelali, ci durnie... Jasne, to był kolejny błąd, zamiast grać na zwłokę, mówiłem, co o nich myślę. W pasji, po dziesięciu latach! Od mojego pobicia na uniwersytecie mijają dziesięć lat, rozpoznałem tę samą bydlęcą wściekłość, zamachnęła się na mnie ta sama pałka. Gdyby jednak nie oni, nie zdecydowałbym się, nawet wtenczas, odesłać „Mewy” i trzymałbym ją dalej przy sobie. Zakończenie mogło być katastrofalne. Powiadam, żadnych wniosków. Ale jeśli jest prawdą, że mechanizmy niszczą wolność, to sądzę, że przypadek jest wolnością ukrytą w mechanizmach.

— Wracam do „grupy metafizycznej”. Przejście skądinąd naturalne. Między tą grupą pytań a problemami wolności istnieje jakaś organiczna więź, właściwie tożsamość. Wszystko to wypływa ze wspólnego źródła, rzeczy boskich i ludzkich pomieszanie. Domyśla się pan, że rachunki ze sobą prowadzę sam. Proszę się nie obawiać, do żenujących wyznań postaram się nie dopuścić. Ale ten wieczór, kiedy wysyłam do magnetycznego pudełka te słowa, i za oknem ten wiatr...

— Ten wieczór, te słowa, ten wiatr...

— Przepraszam za dygresję, zdaje się jednak, że w nasz język potoczny, a można to zauważyć w pierwszej lepszej rozmowie, coraz agresywniej wchodzi rodzajnik określony. Sami go wytwarzamy. Mówimy „weź tę książkę” i „usiądź na tym krześle”. Mówimy „spójrz na to niebo”. Zamiast: „weź książkę, usiądź na krześle, spójrz na niebo”. Niedawno podczas spaceru w plenerze powiedziałem do córki: „Zobacz tego królika, jak sady przez tę kapustę”. Ten, ta, to stały się jakby polskimi le i la, czy der, die i das. To jest wyraźna inklinacja językowa. Podobnie zresztą przyswaja się nam un i une. Przejechał „jakiś” samochód, czujemy „jakieś” zmęczenie i uważamy coś za „jakąś” niejasność. Ja sam bodaj przed chwilą powiedziałem: „między metafizyką a wolnością istnieje j a k a ś organiczna więź”.

— A na pewno istnieje. Powiniennem rozbudować zdanie: ta więź istnieje przede wszystkim między metafizyką i etyką, a jej spełnieniem jest — byłaby — wolność. Czy „uczciwość” nie jest pojęciem metafizycznym, czy nie oznacza wyzwolenia się z materialności? Wszelka ludzka małość to przecież odmiana nie-

woli, wynikająca z niewiary w byt pozamaterialny, świństwa zawsze są ateistyczne. Kiedy w marcu 1968, po zdjęciu ze sceny „Dziadów” w Warszawie i aresztowaniach wśród studentów, gazety zaroły się od kłamstw i denuncjacji, popadłem w osłupienie. Pomyślałem nagle: ludzie, którzy sądzą, że nikczemność się opłaca, gdyż i tak wszystko kończy się tutaj, ci ludzie to w gruncie rzeczy biedni głupcy. Bo przecież nie wiemy, czym jest wszystko, i nie możemy być pewni, gdzie ono się kończy. I nawet — czy się kończy. Wspomniał pan, że w amerykańskich uniwersytetach nastąpił renesans Hegla. To ciekawe. Interesuje mnie, co myślą wasi studenci o tym genialnym niemieckim wodogłowi, które zaraziło połowę globu swoją lucyferyczną pewnością. Jej skutki stały się przekleństwem socjalizmu: milionem Smerdiakowów przekonanych, że wszystko im wolno, ponieważ nie ma Boga. Smerdiakowów, którzy się nie powiesili.

— Więc jak brzmiały pytania? *W regułach etycznych, jakie stosuję w życiu, czy zawiera się czynnik religijny. I czy ideę Boga łączę z pojęciem dobra i zła.*

— Tak. Myślę, że tak. Z pewną tylko korektą. Reguły to określenie zbyt wiążące, lepiej by je zastąpić „wysiłkiem etycznym”. Ponadto wyraz „religijność” dla mnie, laika żyjącego poza Kościołem, oznacza przede wszystkim dziedzinę moralną. A znowu ona nie da się, we mnie, oddzielić od świadomości. O tych sprawach trzeba by zresztą mówić dłużej, tutaj ich nie wyczerpię. Niektóre punkty ankiety doprawdy są kłopotliwe: w paru zdaniach określić swój stosunek do Boga! Nie jestem duchownym, jednakże... Czy nie nadużywa się imienia Bożego w naszych czasach? Bóg jest dziś retoryczną metaforą w esejach literackich, może udałoby się uniknąć tak wysokich nazw. Proponuję inne, na przykład „Niepoznawalna Wszeczasada”. Więc jeśli mam odpowiedzieć, powtarzam: tak. W moim umyśle, w moim odczuciu i w mojej nadziei Niepoznawalna Wszeczasada łączy się z pojęciem dobra i zła, a ludzką wolę moralną uważam za jej odblask. Ale gdybym dalej o tym mówił, zacząłbym obrastać słowami, puchnąć i puszczać bańki. W obliczu najwyższych tajemnic nikt jeszcze nie oniemiał, wielu natomiast popadło w werbalizm. Byłoby chyba bardziej sensowne przejść do okoliczności poznanych, rzeczywistych.

— Wspomniałem gdzieś przedtem o moim koledze gimnazjalnym. Będę go tu nazywał Iczem. Obaj po maturze wstąpiliśmy na prawo, to właśnie z nim przechadzałem się na dzie-

dzińcu uniwersytetu, kiedy pobito żydowskiego studenta. Ieza uderzono w twarz, gdy próbował mnie bronić, po egzaminie odwiózł mnie do szpitala na Oczki. Łączyła nas jeszcze szkolna przyjaźń, a poza tym zawsze podziwiałem jego inteligencję, był najbardziej czytany z całej klasy. Prawo studiował jednocześnie z polonistyką, dyplomy na obu wydziałach uzyskał z łatwością. Później spotykaliśmy się rzadziej, wiedziałem, że pisze, mózg miał zwykle pełen nowych intelektualnych koncepcji. Przeczytał mi kiedyś rozdział swojej pracy pod tytułem „Powieść i premedytacja”. Jeśli dobrze pamiętam, była w nim mowa o pokrewnych cechach wyobraźni fabularnej powieściopisarza i konstrukcji pozorów, jaką buduje autor zaplanowanej zbrodni. Nie przypominam sobie dokładnie sformułowań, ale niektóre wydały mi się oryginalne. Iez twierdził na przykład, że słynne trucicielki obmyślały swoje zbrodnie tak jak wybitni pisarze akcję swych powieści, w jednym i drugim wypadku sukces to triumf fikcji, osiągnięty przez niepostrzeżalność środków i odwrócenie uwagi od właściwego sprawcy — autora. Mówię o tym, aby dać pojęcie o kulturze umysłowej tego człowieka. Na pewno nie był tępym. I właśnie to mnie najbardziej zdumiało, że jego reakcja po naszej ohydnej przygodzie była zupełnie inna niż moja. Powiedziałbym: odwrotna. Tłumaczył, że nie jest pewny, czy ludzie, którzy nas pobili, nie mieli racji. Oczywiście racji wykraczającej poza fakt pobicia, racji ogólniejszej. Z początku myślałem, że zwariował. Zaczął mi wyjaśniać ich poglądy — był to program ówczesnych ugrupowań narodowo-radykalnych — i nagle spostrzegłem, że mówi do mnie człowiek urzeczony. Takim go jeszcze nie widziałem. Kojarzyło mi się to z ciążą, z zapłodnieniem przemieniającym gatunek, i żeby odczuć tę niesamowitość, trzeba by sobie wyobrazić przyjaciela zamienionego w sowę, przyjaciela z głową konia albo lisa, i trzeba by go znać tak jak ja go znałem, na wylot. Do dziś nie mogę zapomnieć tej rozmowy. Mówił o handlu opanowanym przez o b e c y e h. Siedział bokiem do mnie, tak że mogłem widzieć nie przysłonięte szkłem okularów jego oko, ciemnoniebieskie, marzycielskie. I poruszając się grdykę. Kołnierzyk miał zawsze wyłożony na marynarkę, à la Słowacki. Nie nie rozumiałem. Programy były dla mnie abstrakcjami, a ten wydawał mi się obskurnie bezsensowny. Jaką drogą przeniknął do umysłu człowieka tak inteligentnego — zagadka, nie mogło mi się to pomieścić w głowie. Dochodzę jednak do wniosku, po latach, dzisiaj, że głównym napędem inteligencji Ieza była głęboka wewnętrzna niepewność. Wpuszczał do siebie każdą myśl z ze-

wnątrz. Prawdopodobnie stanowił obwód z przerwą, był otwarty na wszelkie treści i każde zjawisko przychodzące do niego ze świata wydawało mu się lepsze niż on. Tak podejrzewam. Że podświadomie dążył do sprzymierzenia się z racją większą od jego własnej, z taką, której wartość może się potwierdzić w czasie przyszłym. Przyszłość był to dla Icza wieczny szantaż prawdy, jaką mógłby nie zostać objęty i która mogła się spełnić bez niego. Pewnych ludzi zabija świadomość, że gdzieś odbywa się przyjęcie, a oni nie są zaproszeni. Icz był inny, mordowała go myśl, że nie zostanie zaproszony do nowej epoki. Ale ja byłem wstrząśnięty. Po naszej rozmowie spędziłem złą noc, zdania Icza zaczęły mnie atakować w ciemności, wypaliłem mnóstwo papierosów. Nigdy dotąd nie czułem się bezpośrednio odpowiedzialny za sprawy kraju, uważałem, że to są problemy ludzi polityki, fachowców. Teraz moje samopoczucie nagle obróciło się przeciw mnie. Czy społeczeństwo pójdzie za tym czarnym programem? Przeczuwałem, że to się może stać. Stało się już we Włoszech i w Niemczech. A jeżeli tak było, jeżeli sprawy zaszyły tak daleko, to oznaczałoby mój udział w jakimś potężnym błędzie. Tej nocy straciłem pewność: siebie, swoich przekonań i wspomnień, uczciwości mego ojca, mojej pamięci, tradycji, wychowania. Zobaczyłem po ciemku małą, ogłupioną i biedną polską rzeczywistość. Przejął mnie strach i wstręt.

— Icz był dobrym przewodnikiem czasu, jak miedziany drut przewodnikiem elektryczności. Przepuszczał przez siebie prądy epoki, rozżarzał się nimi, świecił. Później gasł. Przez parę lat oscylował wokół falangistów, pisał artykuły o przełomach i odnowach, potem umilkł. Odpadł. Wojnę przeżył w kraju. W lutym 1945, kiedy wróciłem z obozu jenieckiego, w którym znalazłem się po Powstaniu, przegadaliśmy u niego całą noc przy świeczce. Oceniał wówczas zwycięstwo komunizmu jako rzecz prawidłową, wynikającą z logiki dziejów. W tej rozmowie, a nie było wtedy opału, więc marzliśmy mimo płaszczy i czapek z nausznikami, Icz przekreślał naszą przeszłość, a ja słuchałem go z fajką w zębach nabitą papierosowym tytoniem. W pewnej chwili zaczął dowodzić, że od młodości przygotowywano nas do życia w społeczeństwie opartym na kłamstwie, i powiedział: — Byliśmy korumpowani już w gimnazjalnych latach. — Mileczałem, czując, jak krew przyływa mi do głowy. Przypomniał mi się ojciec, jego koścista, nosata sylwetka przechadzająca się między katedrą a tablicą i jego głos, kiedy nam tłumaczył, że Grecy wiedzieli wszystko o życiu, a Rzymianie wszystko o wła-

sprawie nie możemy się porozumieć, rozmowy kończą się kłótnią, chociaż na ogół jestem opanowany. To inteligentna dziewczyna. Kobieta właściwie, urodziła się przecież w roku 1944. W marcu 45 przywożem ją do Warszawy spod Kielc. Zabrałem ją dwójku starym ludziom, rodzicom „Mewy”, którą niemal bezpośrednio po porodzie wzięto z łapanki na roboty do Niemiec. Postanowiłem być ojcem, a nie miałem nawet mieszkania, tylko pokój wynajęty na Mokotowie. I wiożem ją do Warszawy w koszyku, nieogrzewanym pociągami. Nie wiedziałem, gdzie jest jej matka — „Mewa” odnalazła się w Niemczech dopiero po trzech miesiącach — i przez całą drogę głowiłem się nad tym, czy potrafię karmić niemowlęta. W kwestionariuszu jest pytanie: *Co pan uważa za swój największy sukces życiowy?* Z pewnością to. Tę noc w pociągu, kiedy drząc ze strachu trzymałem po ciemku na kolanach oddychające, ciepłe zawiniątko, półroczną Mewę. I później następane lata. To, że ją wychowałem. Ostatnio pokłóciliśmy się wieczorem, w przeddzień mojego odlotu na kongres. Krzyczała do mnie: — Jak mogłeś wtedy milczeć?! — Mewa jest geologiem, a jej mąż, fizyk elektroniczny, nie lubi rozmów poza swoją dziedziną. A przeszłość nie jest jego dziedziną. Za przeszłość ja jestem odpowiedzialny i w ogóle ze mną się rozmawia na tematy zasadnicze, mąż jest małomówny. Rano w dniu mojego wyjazdu była mizerna. Siedziała na dywanie przy adapterze, za chwilę mieliśmy się pożegnać, zdaje się, że łatwiej jej rozstać się ze mną niż z Bachem. Ale widząc jej zmartwione spojrzenia, odezwałem się pierwszy. Zresztą doprawdy nie ma o czym mówić. Jest nerwowa, namiętna, roztargniona, zarazem jednak ma w sobie jakąś skoncentrowaną uwagę. Kiedy wzywano ją na przesłuchania sześć lat temu, po zawieszeniu „Dziadów” w Teatrze Narodowym i zajęciach, jakie potem wybuchły na Uniwersytecie — była zupełnie spokojna. W tych dniach także ją pamiętam siedzącą na dywanie obok adapteru. W szwy farmerskich spodni zaszywała sobie przed wyjściem kolorowe ziarenka elenium i valium. Koncerty Brandenburskie kojarzą mi się odtąd, i chyba na zawsze, z tymi marcowymi porankami.

— Jak mogłem milczeć? Bo doszedłem do przekonania, że Historia ma rację. To, co dotychczas myślałem i robiłem, zaczęło tracić swoją ważność. Tak jakbym zanikał w ogromnym, rosnącym cieniu niewidzialnego kolosa zwanego dialektyką przemian. Marksa i Lenina zacząłem czytać z niespokojnej ciekawości. Chciałem się przekonać u źródła, czym była ta logiczna

myśl, która teraz wywazała z posad moje myśli. Dziwne lektury. Stanowiły zarazem mechanizm i klucz. Mechanizm uniwersalny, wprawiający w ruch cały system trybów — konsekwentnie zbudowanych tez, argumentów i wniosków. Za jednym pociągnięciem wszystko stawało się wytłumaczone: dzieje, kultura, religie, nędza i bogactwo, wojny między państwami i stosunki między ludźmi. Ale uniwersalne wytłumaczenie pozostawiało człowieka bez pytań. Wytłumaczenie wszystkiego blokuje możliwości rozwoju, wtedy system myślowy kamienieje w własnych odpowiedziach, jest to rodzaj samobójstwa przez pewność. W wytłumaczonym świecie, z wytłumaczonym sobą, człowiek milknie w środku wytłumaczonej prawdy.

— Totalne utopie, o tym przecież wiemy, zawsze pobudzają tęsknotę za doskonałym wszechporządkiem urządzeń. A ja w czasie tych lektur byłem ponadto w zasięgu przekształcającej się rzeczywistości. To znaczy jej codziennych, realnych zmian, planowanych oraz uzasadnianych według programu całkowitego przeobrażenia życia, i to z nawiązaniem do wielkich źródeł: wolności, równości i sprawiedliwości. Słowo działało. Wchodziło w puste miejsca po „inteligenckich złudzeniach” i „mieszczańskiej moralności”. Takim językiem przemawiała prasa i radio, na Zachodzie nazywano to „praniem mózgow” — ale ciekawe, że ten język w coś trafiał, poruszał jakiś niepokój. Nie czułem się odpowiedzialny ani za kolonie, ani za komory gazowe, żyłem jednak w świecie, w którym je zakładano. I to wystarczyło. W takim świecie nikt nie mógł być zupełnie czysty. Po wojnie, kiedy pierwszy raz w życiu byłem na premierze wyreżyserowanego przeze mnie spektaklu, wszystko — znani aktorzy, sztuka, dekoracje — wydało mi się nudne i fuszerskie. W czasie premiery miałem jakieś mdłe uczucie, że osoby na scenie udają prawdziwy teatr, a ja udaję siebie w prawdziwym teatrze. Kurtyna, rampa i światła też coś udawały. Zdaje się, że wszyscy to czuli. Wszyscy byliśmy tacy sami i mieliśmy sobie do powiedzenia tę samą haniębną rzecz. Artykuły i przemówienia obarczały tą hańbą przeszłość oraz tych, co się na nią godzili. A więc nas. Argumentacja była logiczna, tłumaczyła mi moje klasowe obciążenia, uniwersalny mechanizm funkcjonował bezbłędnie. I zawsze w oparciu o ideologię. Ktoś napisał: „jakiż to nonsens przekreślić wszystko dla spełnienia idei sprawiedliwości!” Przekonywałem siebie, że jednak chodzi tu o sprawiedliwość i że jej cena nie może być bezsensowna.

— Takie myśli przychodziły mi wtedy do głowy. W trakcie

kolejnych przesłuchań, chociaż zarzuty przeciw mnie były absurdalne, tkwiłem już w mechanizmie. Rozumowałem dialektycznie: jestem niesłusznie oskarżony, lecz oskarża się mnie w imię słusznej sprawy. Znałem historię na tyle, by orientować się w nieuniknionych kosztach rewolucji. Z początku badało mnie na zmianę dwóch oficerów, a potem zajęła się mną kobieta, egzaltowana politruczka, przed wojną bohaterka głośnego procesu komunistycznego, w którym skazano ją na dożywotnie więzienie. Podejrzewam, że walczyła o moją duszę. Z wypiekami na twarzy usiłowała mnie przekonać, że jestem obiektywnym wrogiem klasy robotniczej. Nie byłem wrogiem ani obiektywnym, ani subiektywnym, chciałem jej spokojnie wytłumaczyć, że jest w błędzie, wykazać bezsens donosu, jaki na mnie złożono, i właśnie mój spokój doprowadzał ją do szału. Kiedy indziej przesłuchania przybierały formę dyskusji światopoglądowej, w którą dawałem się wciągać. Argumentacja tych ludzi była ograniczona, właściwie powtarzali w kółko jedno i te same oskarżenia: wyzysk, ucisk, nędza i policja. Przed wojną zwalczano te hasła jako wywrotowe — teraz, poparte przez nową rzeczywistość, nabrały przekonującej mocy. Nie znajdowałem trafnych odpowiedzi i czułem się fatalnie. Ale najczęściej po prostu lżono mnie od reakcjonistów i agentów gestapo. Było w tym coś półobłądnego, obsesyjnego, jak w średniowiecznych egzorcyzmach. Jeden z moich śledczych, z gwiazdką majora, należał przed wojną do Komunistycznej Partii Zachodniej Białorusi, przesiedział pięć lat w Berezie Kartuskiej. Mruknął coś o tym przeglądając mój życiorys — przypuszczam, że szczerze nim gardził — po czym spojrzął na mnie z taką nienawiścią, jakby chciał plunąć mi w twarz. Wyczuwałem, że to są ludzie, dla których uwięzienie człowieka jest rzeczą normalną, może dlatego że ich także kiedyś zamykano. A siedzieli w różnych kryminalach, polskich i rosyjskich, to były ich internaty, ich obozy szkoleniowe. Potem to się pewnie staje naturalne: najpierw samemu się siedzi, a później wsadza się innych i daje się w mordę, tak jak się brało. Kiedy domagałem się odpowiedzi, czy jestem aresztowany, major pogroził mi palcem mówiąc, że kto nie był w więzieniu, szpitalu i koszarach, ten nic nie wie o życiu. I przez tę jedną chwilę wydał mi się niegłupim człowiekiem.

— Byłem już zrezygnowany. Żądali ode mnie zeznań w sprawie antykomunistycznej działalności „Ronda”. Zaprzeczałem z uporem i nie wymieniłem ani jednego nazwiska. To mi nie pomogło. Za każdym razem szedłem tam przekonany, że nie wrócę do domu. Ale wracałem. Co nie oznacza, że wszyscy stam-

ąd wracali. Kilku działaczy, z którymi stykałem się w konspiracji, zmarło w czasie przesłuchań. Jednego z nich trzymano w bunkrze z wodą. Dlaczego mnie to ominęło, chyba nigdy nie będzie dla mnie jasne. Widocznie w poszczególnych wypadkach stosowano rozmaite metody, albo — i to jest najbardziej prawdopodobne — nie odkryto żadnych śladów działalności „Ronda”. Zrobiłem niepoważne wrażenie. Może słusznie.

— Ale chciałem trzymać się pytań. Skoro jednak dotyczą tematów tak rozległych... Wszystko to dosyć pogmatwane. Właściwie zależy mi na jednym: żeby sobie odtworzyć to, co przeżywałem w tych latach. A to nie jest łatwe, bo żyłem wtedy w zmaganiu. Dostrzegałem wokół przymus, strach i szaryznię, a jednocześnie sumowałem argumenty przeciw sobie, przeciw mojej samotności i udręce. Tak jakbym wyrzekał się komfortu na rzecz zbiorowego opodatkowania. W czasie naszej pierwszej rozmowy powiedział pan, że te lata w Polsce stanowią dla pana lukę, że brak panu psychologicznych uzasadnień dla wielu ówczesnych ludzkich sytuacji. Powiedział pan: za mało ogniw. Ma pan rację. Bardzo wielu ludzi szuka dziś uzasadnień swego ówczesnego postępowania i myślenia, im także brak niektórych ogniw. Również wielu z tych, którzy milczeli, zdaje sobie dziś sprawę z tego, że ich milczenie płynęło nie tylko z obawy przed terrorem. W czasie wojny dowiedli, że nie są tchórzami. Ale też nie tylko z protestu moralnego. Chwilami odczuwają po latach niepokój. Dlaczego nie potrafili się zdobyć na nic więcej i czy to nie było milczenie w obliczu rzeczywistości, która paraliżowała duchowo. Podejrzewam, że oni sami przeżywali wówczas wewnętrzne pęknięcie, często nie uświadamiając sobie tego w pełni. W roku 1956 kierownicy teatrów i wydawcy liczyli się z ujawnieniem demaskatorskich manuskryptów — sztuk, powieści i wierszy, pisanych w ubiegłych latach „do szuflady”. I okazało się, że szuflady są puste. Kilka czy kilkanaście oskarżycielskich utworów powstało dopiero w miesiącach przełomu, na zakręcie albo po zakręcie. To charakterystyczne: jak gdyby nikt nie był dostatecznie pewny nadrzędności swych racji, aby wyrokować o tych latach z ich czasu i miejsca, uginając się pod ich ciężarem. Buduje się dziś wstecz rekonstrukcje poglądów i sposobów postępowania, w obiegu są liczne interpretacje takich czy innych form aktywności lub nieobecności w tamtym okresie. Niemal wszystkie są uproszczone. Prawdy właściwie nikt nie zna. A interpretacje nadal tworzą podziały, mimo że od tej pory minęło ćwierć wieku i prawdziwe podziały od dawna już przebiegają inaczej. Czasami przypomina

mi to wyciąganie rodowych genealogii w kraju, w którym upadły przestarzałe bariery socjalne.

— W tych latach zęgałem się z nadzieją, a zarazem czułem, że staje się coś uzasadnionego i dokonują się jakieś nieodwracalne przemiany. Być może tak się przeżywa rewolucje. Zdaje się, że wiara w człowieczeństwo jest w nas zakorzeniona mocniej niż sądzimy. Kiedy dowiadujemy się o strasznym nieszczęściu lub krzyżującej niesprawiedliwości, pierwszy nasz odruch to próba znalezienia ich przyczyn. Jak niechętnie godzimy się z faktami, które nie mają racjonalnych uzasadnień... Dowiadując się o czyjejs śmierci, wolimy usłyszeć, że ktoś umarł, bo przez łakomstwo zjadł niestrawne danie, niż że z niewiadomych powodów nowotwór przeżerał mu wątrobę. Przyczyny... Jeśli zachodzą przyczyny, wszystko można sobie wytłumaczyć i wszystko sprowadzić do skutków. Ale pewne fakty w tych latach wydawały mi się pozbawione racjonalnych przyczyn. W 1949 skazano na śmierć człowieka, z którym zetknąłem się w obozie jeńców po Powstaniu. Był jednym z nielicznych przedwojennych oficerów o lewicowych przekonaniach, po roku 1945 przyjęto go do wojska. Skazano go za udział w spisku. Postarałem się wtedy o spotkanie z kimś, kto również znał go z obozu, a po wojnie mógł wiedzieć o nim więcej niż ja. Ten ktoś, wpływowy i wtajemniczony, zapewnił mnie, że wyrok był oparty na dowodach, podobno skazany przyznał się do winy. W takich razach, zdawałoby się, można tylko uwierzyć albo nie uwierzyć, trzecia możliwość nie istnieje. Istniała. Czułem tu jakąś nadmierną jednoznaczność, jakieś zbyt proste cięcie — lecz zamiast zamknąć oczy i uwierzyć albo otworzyć oczy i nie uwierzyć, uległem tej trzeciej możliwości. Powiedziałem sobie, że widocznie przypadkiem zostałem w coś wplątany... Jeżeli się tak rozumuje — takimi nieokreślonymi myślami, takimi zastępczymi pojęciami, jak „widocznie”, „przypadkiem” i „coś” — wtedy trudno się oprzeć podejrzeniom w stosunku do siebie i tkwi się w pośrednim stanie między dobrą wiarą a samooszustwem. To jeszcze jeden z objawów sprzecznej podwójności, o której poprzednio mówiłem. Cięcie istotnie było proste. Przyczyny aresztowań nie istniały, skazywano niewinnych. Był tylko cel aresztowań. Celem było zastraszenie ludności i zwarcie kadr wykonawczych — nic tak nie cementuje, jak wspólnie przelana cudza krew.

— Przeżywałem te lata jakby utajoną chorobę psychiczną. Niemal każda myśl była podwójna. W tych latach zasypywano stare przepaści społeczne i w tych samych latach niszczoneo

podstawy etyki osobistej. Wprowadzono bezpłatne nauczanie i obowiązek politycznej denuncjacji. Zniesiono analfabetyzm i poddano ludność upokarzającym ankietom personalnym. Upowszechniano kulturę i naciągnięto na nią gorset sztywnej, jednolitej doktryny. Nie widziałem powodu, żeby rozpaczać nad losem wywłaszczonych fabrykantów i ziemian, ale w tym samym okresie docierały do mnie wiadomości o brutalnym traktowaniu chłopów, którzy sprzeciwiali się spółdzielniom rolniczym. Taki stan umysłowego rozpołowienia wywołuje objawy podobne do klinicznych przypadków depresji. W końcu jednak, gdy staje się trybem codziennym, zaczyna ograniczać elementarne rozoznania co do chorobliwości i zdrowia. Możliwe, że była to choroba psychiczna, znam nawet ludzi, którzy twierdzą, że byli wtedy obłąkani — ale przecież żyłem, rozmawiałem, wychowywałem córkę, reżyserowałem „Profesję pani Warren” i „Śluby panieńskie”... Taki stan z czasem znosi się jak los, jak normę życiową, traktuje się go tak, jakby był powszechny i wynikający z epoki. Lub z jakichś przyczyn jeszcze głębszych, zawartych w samej materii życia. Kiedy w 1957 roku po raz pierwszy wyjechałem do Paryża na festiwal teatralny i stojąc z walizką przed dworcem lotniczym Le Bourget zobaczyłem biały sportowy samochód z załadowanymi na dach piłkami tenisowymi i kijami do golfa — przyszło mi na myśl, że znalazłem się w kraju wariatów.

— W Paryżu byłem wtedy trzy tygodnie. Odnalazłem sporo znajomych Polaków sprzed wojny i z konspiracji. Kiedyś przełaziłem całą noc na Lewym Brzegu z człowiekiem, który był przesłuchiwany w Urzędzie Bezpieczeństwa w tym samym okresie co ja i przez tego samego majora z Berezy Kartuskiej. Nazywał go „ponurą bestią”, w czasie przesłuchań miażdżono mu palce szufladą, bo nie chciał podpisać zeznania, że wydawał Niemcom polskich komunistów. Dostał 10 lat, wyszedł w 1955, potem wypłynął kutrem rybackim do Szwecji. Jest dzisiaj jednym z etnologów o międzynarodowym rozgłosie. Miły człowiek, podczas okupacji brał udział w akcjach bojowych. Miesiąc temu natknąłem się na jego nazwisko pod protestem lewicowych intelektualistów opublikowanym w „Le Monde”. W tekście niektóre zdania były jakby wyjęte z ust naszego majora: wyzysk, ucisk, policja... Major natomiast jest dziś emerytem. Widuję go czasami w barku „Europejskim”, gdzie w wolnych chwilach zachodzę na kawę z mojego Instytutu. A latem w Ogrodzie Ujazdowskim. Obaj lubimy karmić wiewiórki.

— *Czy uważam się za dobrego człowieka?*

— Nie, na dzisiaj koniec. Pytanie jest mordercze, przerywam do jutra.

— Noc, godzinę temu zakończył się raut w Uld Raet Hoos po sesji zamknięcia kongresu. Zresztą może się jeszcze nie skończył, to ja miałem już dosyć. W starych siedemnastowiecznych salach przez trzy godziny stał ryczący tłum z kieliszkami i talerzykami, pewnie z tysiąc osób. A z góry, z plafonów, patrzyły uśmiechnięte pulchne kobiety z rogami obfitości i zamysłone woły. Byłem jedyny nie w smokingu, rano kupiłem czarną muszkę do szarego garnituru i dzięki Bogu nikt nie zwracał na mnie uwagi. Myślałem o pańskiej ankiecie. Ten kwestionariusz z pytaniami ciągnie mnie wieczorem do hotelu. Spieszę się jak narkoman, który musi o pewnej godzinie zrobić sobie zastrzyk. Wczoraj jeszcze raz przeczytałem wstępne wyjaśnienie poprzedzające listę pytań. Jeżeli ankieta ma zebrać materiały od trzech tysięcy osób z kilkudziesięciu krajów, to obawiam się, czy moja wypowiedź nie przekroczy dopuszczalnego rozmiaru, przecież gadam jak opętany. A w dodatku ciągle mi się wydaje, że najważniejszych rzeczy jeszcze nie powiedziałem, wciąż mi umyka jakiś istotny sens czy wątek. Wie pan, na tym raucie, kiedy już mnie do reszty stłamsili i przepychałem się w kierunku wyjścia, nagle w bocznej salce spostrzegłem jakiegoś mężczyznę, dość mocno zbudowanego, w popielatym garniturze i z fajką. Szedł w moją stronę. Oczywiście to ja szedłem w stronę lustra. Takie chwile są zwykle niezbyt przyjemne — niepotrzebne spotkania, z których nic nie wynika prócz sekundy zaniepokojenia i smutku. Kiedy zobaczyłem się w lustrze, pomyślałem sobie: ach, to ten facet, co wieczorami gada w hotelu. I przez moment ogarnęło mnie dziwne wrażenie, że oddzieliłem się od moich taśm, od pudełka z mikrofonem, które wchłania mnie co wieczór po kawałku. Ale zaraz przyszło mi do głowy, że gdybym przekreślił taśmę i wysłuchał od początku, to byłoby tak samo jak z odbiciem w lustrze: zbyt czyste i trochę smutne spotkanie. Z kimś, kto jest mną, ale naprawdę kimś jeszcze, kogo nie odbija lustro ani taśma. Stałem przyglądając się głupio swojej twarzy, w salach tłum z kieliszkami dalej wrzeszczał jak w maniackim zapamiętaniu i nie wiem dlaczego przypomniał mi się wtedy mój znajomy baletmistrz, jego solowy taniec trzydzieści pięć lat temu w Operze Poznańskiej, te dwa wesołe tupnięcia, którymi zachciało mu się pewnego wieczoru urozmaicić swój występ w czardaszu i po których ludzie zerwali się z miejsc, bo gmach od nich się zatrzęsł i wyleciały szyby. A on dalej tańczył zdumiony

swoją mocą: nie wiedział, że to spadły dwie pierwsze bomby niemieckie na Poznań.

— Więc na czym skończyłem?

— Czy uważa się pan za dobrego człowieka?

— *W czym upatruje pan główne niebezpieczeństwa zagrażające współczesnym ludziom? (przeludnienie — rozwój techniki — kryzys kultury — systemy polityczne — upadek ideologii? Niepotrzebne skreślić.)*

— Stawiam te dwa pytania obok siebie, ponieważ według mnie jedno z drugim najściślej się wiąże. Uważam się za człowieka, który chce być dobry. I któremu zagrażają w tym dwa *główne niebezpieczeństwa*: Historia i Natura. Są to moim zdaniem dwa źródła zamąceń ludzkiej osobowości. Myślę, że człowiek — nie tylko współczesny — musi się wobec nich poddawać nieustannej samokontroli. Myślę też, że najlepszy, a kto wie, czy nie jedyny sposób tej samokontroli to zachować dostęp do siebie. Inaczej mówiąc, jestem przekonany, że człowiek, który chce być dobry, może się bronić przed zniewoleniami grożącymi mu od sił przyrody i historii — skutecznie może przed nimi się bronić tylko własną świadomością. To nie przypadek, że w wielu językach świadomość i sumienie określa się wspólną nazwą: *conscience*. Naturalnie, mnie idzie tu o szczególny rodzaj świadomości, skupionej na podmiocie, czyli o samoświadomość. Nie umiem jej odróżnić od mojego sumienia. Bo na dobrą sprawę, jeżeli w moich złych dniach czuję niechęć do świata i ludzi i w jakiejś chwili osadza mnie myśl, że to jest przerzut mojej niechęci do siebie — to wtedy tę kontrę daje mi właśnie moje samopoznanie, które w tym momencie jest moim sumieniem. Otóż twierdzę, że w każdym momencie.

— Mówiłem tu o naturze i historii, powiedziałem, że widzę w nich dwie główne przyczyny zamąceń osobowości. Należę do pewnej odmiany ludzi współczesnych, odmiany uczulonej zwłaszcza na historię. A może ściślej: czujnej w stosunku do historii przez duże H. Natura jak dotąd obchodziła się ze mną dość łagodnie, oszczędzając mi niewoli doznawanej od ciała. Nie przeszedłem żadnej poważnej choroby, własną zwierzęcość opanowuję bez większych trudności. Nie mam więc powodu się uskarżać. Bardzo lubię spacerować w krajobrazie, jesień i filmy o delfinach. Między przyrodą a mną dawno temu — wiem kiedy — nastąpiło zawieszenie broni, ślepych popędów biologicznych zawsze się obawiam i być może przez to mi jest obcy nacjonalizm, właśnie przez swoją prymitywną przyrodniczość. Zresztą pewnie pan zauwa-

żył, że jestem z innej linii. Silniej działały na mnie tradycje racjonalistycznych utopii socjalnych, niż wszelkie przekazane koncepcje plemiennej wspólnoty. A że jedno i drugie noszą ze sobą groźbę masowych likwidacji, w tym zorientowałem się ze znacznym opóźnieniem.

— Tak, ale moje roczniki miały życiorysy o specjalnych znamionach, nasze wulkany i trzęsienia ziemi były przede wszystkim historyczne. I może dlatego pojęcie Historii dla nas nie oznacza przeszłości, lecz stającą się i czynną siłę przyszłości. Rodzaj przepowiedni wiążącej teraźniejszość i spełniającej się jak wyrok, przyjmowany zawczasu, ponieważ i tak musi się spełnić. W tym i t a k jest coś grzesznego, wyraża się w nim nasza zgoda na Historię jako na zewnętrzną konieczność. W istocie tworzymy ją sami, ulegając jej zanim stała się koniecznością. U moich przyjaciół którzy około roku 1950 zostali członkami partii, nieraz wyczuwałem tę kapitulację wobec Historii nadchodzącej z zewnątrz jak objawienie rozumu epoki. Rozumu ponadosobowego, który się urzeczywistnia niezależnie od woli jednostek i od ich rozważań moralnych. A którego źródłem jest przyszłość. Nieprzenikniona i nieunikniona. W ten sposób Historia może zastąpić etykę i wiarę w Opatrzność.

— Zdaje się, że moment akcesu jest podświadomym paktem z koniecznością „jeśli i t a k jest nieuchronna, lepiej się z nią sprzymierzyć.” Po to, żeby uczestniczyć w jej spełnieniu, a również po to, żeby swoim udziałem ją przejednać. Żeby stąpić jej ostrze, żeby ścięła mniej głów. Więc nie tylko, żeby ocalić własną. Ale z chwilą zawarcia paktu z koniecznością przyjmuje się jej racje i odtąd w jej wnętrzu, jak w brzuchu wieloryba, trzeba te racje przed samym sobą uzasadniać. Przemawiać głosem wieloryba i tłumaczyć, dlaczego pożera tyle ofiar. Jak mówiłem, argumentów nie brakło. I to potężnych argumentów, odwołujących się do logiki rozwoju i podstaw sprawiedliwości. Co uczciwszy człowiek, wstępując do partii, przystępował do idei, do programu. Czynił to niejednokrotnie z milczącym zastrzeżeniem świadomości. Na przykład: „przyjmuje wszystko prócz metod”. Jeśli po dziesięciu czy dwudziestu latach metody zostają zakwestionowane, wtedy jego częściowe i milczące zastrzeżenie szybko zagarnia całą jego świadomość. Taki człowiek przemawia nagle innym głosem, nie zdając sobie sprawy, że w cudzych oczach jest kimś, kto zmienił poglądy z dnia na dzień. Występuje teraz przeciw metodzie i ma słuszne przeświadczenie, że zawsze ją potępiał. Owszem, potępiał ją w myślach. Teraz jednak potępia ją głośno, potępia konieczność w momencie jej osłabie-

nia, konieczność popsutą i skompromitowaną — naprawia Historię dopiero wtedy, gdy ona poprawia sama siebie. Pamiętam sporo podobnych wystąpień i przełomów w roku 1956, wszystkie co do jednego były następstwem wcześniej zawartych paktów z koniecznością.

— Mówię, że było w tym coś z grzechu. Z grzechu kolektywnego, o działaniu utajonym i skomplikowanym, właśnie przez tę kolektywną sankcję. Mimo iż sedno jest proste. Tkwi ono w tym, co nazwałem cesją, odstąpieniem od siebie. Bo z chwilą gdy sam przestaję być swoją wewnętrzną koniecznością, z tą chwilą pomniejszam rzeczywistość o siebie, o moją wolę. Zaczynam wtedy ulegać bezosobowej abstrakcji, będącej pośrednio moim własnym dziełem, i innych do mnie podobnych. I jeszcze innych, do mnie niepodobnych. W rezultacie wszyscy stają się narzędziami anonimowej maszyny, którą skonstruowali. Przypominam sobie kilka momentów, kiedy czułem, że moje postępowanie jest w jakiś osobliwy, jednoczesny sposób prawdziwe i wynaturzone. Jeden zwłaszcza epizod, we Wrocławiu, rok chyba 1949, gdy pewien autor dał mi do przeczytania swoją nową sztukę. Byłem wtedy reżyserem we wrocławskim teatrze. Sztuka wydała mi się interesująca, ale pomyślałem: nie przejdzie, nie ma szans. Cokolwiek bym mu powiedział, jednego byłem pewny: że i t a k nie przejdzie. Powiedziałem mu, że jego sztuka nie nadaje się do wystawienia. Potem, nie mogąc zasnąć, zświadamiałem sobie, że istnieją dwie płaszczyzny wartości, jakby dwie ściany, na których zawiesza się obraz. Na tle jednej wydawał mi się dobry, lecz przymierzony do drugiej nabierał niestosownej, wyzywającej jaskrawości. Doznawałem wrażenia, że te obydwie płaszczyzny mam w sobie i przymierzam obraz równocześnie do obydwóch, ale jaki on jest naprawdę, tego nie umiem powiedzieć, ponieważ nie wiem, kim ja jestem naprawdę. Bo nie wiadomo, kim się jest w takich momentach. Chciałoby się wynaleźć jakieś nowe formuły oddające złożoność tych chwil, jakąś „nakierowaną uczciwość” czy „wydelegowane sumienie”... Ale takich określeń szuka się dopiero dzisiaj, wstecz. Wtedy pozostała mi tylko rozterka i niesmak, mimo że z pewnością mobilizowałem w sobie argumenty. Prawdopodobnie te same, którymi mnie przekonywano. Kiedyś, nie pamiętam już kto mi powiedział: dla ciebie to może być obce, ale dla kogoś, kto jadł kartofle bez soli, będzie coraz bliższe. Argumenty? Zostało mi jedno dość słabe pocieszenie. Poradziłem autorowi, żeby swoją sztukę schował do szuflady. Żeby z nią zaczął. Na co? Nie wiem. Po prostu chciałem mu oszczędzić

przykrości. Zdaje się, napomknąłem mu jeszcze, że żyjemy w okresie dyktatury proletariatu. Tylko tyle. Ale w moim „i tak nie przejdzie” wyrażało się więcej. Podświadomie chciałem być w zgodzie z moim czasem, z epoką. Co nie zawsze oznacza zgodę z sobą. Tak dziś sądzę.

— Mówiłem tu o przeszłości. Dzisiaj sprawy są prostsze i bardziej pospolite, jakby z powrotem przedstawione na małe litery. I to jest na pewno bezpieczniejsze. W rezultacie nie uważam się za człowieka zniszczonego. Może dzięki temu, że z historycznych przesłanek nie wyciągnąłem wszystkich wniosków. Potrafiłem wprawdzie uwzględnić możliwość własnego zniszczenia przez słuszną sprawę, na szczęście jednak nie byłem tak pojętny, by uznać, że słuszną sprawę może pochłonąć milion ludzi. Zresztą nie jestem pewny, czy uchroniłem się sam. Na urlopie w górach usłyszałem przez radio komunikat o śmierci człowieka, który od lat symbolizował dialektyczną opatrność. Miał zwapniałe tętnice i umierając podobno wygrażał pięścią. Poeta — jedna z jego ofiar — nazwał go samotnym pożeraczem ludzi. W trzy lata później na wiecu w Uniwersytecie mój przyjaciel Icz rozpoczął swoje przemówienie od słów: — Król był nie tylko nagi! Był posągami z gazet! — Wtedy na Uniwersytecie przyszedł tłum, przyszli wszyscy, to znaczy dwa tysiące bardzo rozmaitych ludzi, których postawy i biografie układały się niepodobnie do siebie, przedtem i potem. Na grzbiecie tej fali wypłynął Icz — blady, na nowo zapłodniony, ze swoją wystającą grdyką i krzyczącym głosem. W ubiegłych latach należał do sympatyków, na których redakeje mogły liczyć. Drukował recenzje i artykuły o ostrych, krytycznych akcentach, umiejętnie rozmieszczonych. Przedwojennej literaturze na przykład zarzucał egocentryzm i drobnomieszczańskie obciążenia. Ale czynił to z pozycji klasyków XIX-wiecznego realizmu, jego esej „Balzak, lekcja anatomii” był w swoim czasie głośny. W jego wystąpieniu najbardziej uderzyło mnie to, że nie zwracał się przeciw ludziom prawdziwie niebezpiecznym. Atakował tych, którym parę lat temu stawiał zarzut nienadążania za rzeczywistością i odejścia od realistycznych tradycji oświecenia i pozytywizmu. Teraz oskarżał ich o zdradę wobec samych siebie. Właśnie ich. Przypuszczam, że siłą jego przemówienia była znajomość przedmiotu: Icz mówił o sobie i występował przeciw sobie. Była to natchniona autokompromitacja, chyba spontaniczna i może nawet bezinteresowna, a przede wszystkim niebywale przenikliwa. Znał swoje słabości i analizując je na cudzych przykładach wydobyl ich groźne odcienie. Stał się jednym

z bohaterów dnia. Ale ja także go znałem. Mnie nie przekonał. Nazajutrz, kiedy zatelefonował, umówiliśmy się w „Bristolu” na kawę. Icz się spóźnił, miał jakieś spotkanie w klubie młodej inteligencji. Od razu mnie zapytał, co sędzę o jego przemówieniu. Powiedziałem, że znakomicie przemawiał i że między innymi oklaskiwało go wielu skurwysynów. Tych, których oszczędził. Dorzuciłem, że tej jednej rzeczy nie rozumiem: dlaczego zaatakował właśnie ludzi najmniej niebezpiecznych, o których musiał wiedzieć, że nie wykarczali, nie niszczyli innych. Dlaczego ich, a nie tamtych? I powtórzyłem: — Tamtych skurwysynów. — Chciałem dodać: „bo ich dalej się boisz i wiesz, że oni nigdy się nie zmienią”, no, ale tych słów sobie odmówiłem. Wie pan, co mi odpowiedział? Powiedział: — Nie rozumiesz, to jest rewolucja. — Zaczął mi wyjaśniać, że każda rewolucja ma swoje ofiary, i byłem pewny, że za chwilę wspomni o buldożerach Historii. Ogarnęła mnie furia, pomyślałem: idioto, idioto z koncepcjami, które zastępują ci rozum — i nie zdążyłem wybuchnąć. Bo nie miał więcej czasu, spieszył się na następne spotkanie.

— Zrobiłem wtedy rzecz dość trudną do wytłumaczenia: napisałem podanie o przyjęcie mnie na kandydata do partii. Był to chyba gest wywołany irytacją, a może chęcią podkreślenia własnej niezależności. Gest trochę śmieszny przez to, że nada wałem mu wagę samotnego czynu pośród zbiorowego katharsis. W tym okresie gromadnie obalano światopoglądy swoje i cudze, często odcinano się również od własnych życiorysów. Dokony wało się to publicznie, na oczach zemocjonowanej widowni, w atmosferze falującej między krasomówczą swadą a moralnym uniesieniem, gdy mieszają się i współgrają ze sobą najróżniejsze intencje i rachuby. Ale główny, zasadniczy motyw płynął z głębi, z wnętrza narodu, to było jasne dla wszystkich. Szkoda, że nie wybrał się pan w tych dniach do Polski, zobaczyłby pan ciekawy kraj, w którym miasta wydawały się zdobyte przez młodzież, a z fabryk wywożono dygnitarzy na taczkach. Prasa zmartwychwstała, zaroilo się od studenckich kabaretów i klubów, uwalniano więźniów politycznych. Dawnych ideologów tłum przepłaskał z trybun jak kury, na wiecach przemawiali robotnicy i artyści. O tych latach, a to były niecałe dwa lata, mówi się dziś: Październik. W trzecim roku zaczęto rozwiązywać kluby i wyciszać prasę, w czwartym było już po wszystkim, pękło, zapadło się — było po wszystkim i było wiadomo, że z tego nie będzie wolności. Ale o tym nie było wiadomo w tamtych dwóch pierwszych latach, wtedy mój gest był tylko czymś

dziwacznym, niemal irracjonalnym, a wykonałem go pewnie na przekór dialektycznym ewolucjom Ica, albo przeciw sobie samemu. Czy ściślej: przeciw części siebie samego. Bo zdaje się wciąż jeszcze trwałem w wewnętrznie sprzecznym stanie, z owym błędem wzroku, ukazującym terazniejszość — proszę dopowiedzieć: publiczną terazniejszość, terazniejszość faktów i słów — jako obowiązkową męską grę z koniecznością, grę, w której trzeba uczestniczyć, jeśli chce się istnieć. Moje podanie zresztą nie pociągnęło za sobą dalszych następstw. Zostało przyjęte, ale wkrótce jakby zapomniano o nim. Nikt ze mną nie rozmawiał. Ushło w jakiejś szufladzie i myślę, że nic lepszego nie mogło się stać.

— Kwestionariusz w omawianym tu punkcie chce mi ułatwić odpowiedź i wymienia w nawiasach kilka zjawisk współczesnych, sygnalizując zawarte w nich możliwości szczególnych niebezpieczeństw dla człowieka. *Prymat techniki, przeludnienie, kryzys kultury, ideologii...* Jeżeli je pomijam, to dlatego że mają charakter ewolucyjny, że należą do zjawisk wynikających z rozwoju. Ewolucja takie zjawiska albo przewycięża, albo one zamykają jej cykl i wtedy ginie jakaś cywilizacja. Pomiąłem te zjawiska nie ze względu na ich małe znaczenie, ale ponieważ w swoich odpowiedziach zastanawiam się przede wszystkim nad sobą. Czy mówię dość jasno? Nie nad światem i nie nad cywilizacją, lecz nad tym, jak ja mam żyć i myśleć, co mnie zagraża i czego ja chcę lub nie chcę. A sądzę, że moje niebezpieczeństwa zagrażały i będą zagrażać człowiekowi zawsze, niezależnie od fazy rozwoju, i mam wrażenie, że mówiąc o nich mówię o tematach wiecznych. Nie jestem przekonany, że wylądowanie na Księżycu wyzwoli w przyszłości ludzi podobnych do mnie z losów podobnych do mojego, a zwłaszcza nie mam nadziei, aby przyszła ewolucja potrafiła usunąć najgłębszą ludzką niepewność — odróżniania w każdej sytuacji dobra od zła. Więc jeśli tu określiłem dwa główne niebezpieczeństwa zagrażające człowiekowi, to odczuwam je jako moje własne, dosłownie osobiste, i z pełnym przekonaniem mogę powiedzieć, że niczego tak się nie obawiam, jak Historii nade mną i Natury we mnie. A mniej patetycznie: utraty dostępu do siebie. Do siebie, atakowanego przez podwójne fałszywe ja, które wytwarza nietamowana biologia i zdemonizowana przyszłość. „Prawo moralne we mnie” to nic innego, jak tylko formuła zakreślająca ludzką wolność. Cokolwiek bym odpowiedział na jakiegokolwiek pytanie, nieodmiennie do tej formuły będę musiał wrócić, bo w gruncie rzeczy ona wskazuje fundament człowieczeństwa.

Wszystkie myśli prowadzą od niego i do niego — obojętnie czy pytanie dotyczy polityki czy sztuki, zawsze chodzi o wolę etyczną i o to, co przy jej pomocy możemy ze sobą zrobić.

— Ale trzeba się zdecydować, czy prawo moralne w człowieku uważa się za przekaz społecznych doświadczeń ludzkości, czy też za nakaz płynący ze źródeł starszych i głębszych niż ludzkie doświadczenie. Inaczej mówiąc, pytanie, którego w kwestionariuszu zabrakło, powinno brzmieć następująco: *Jaka jest według pana geneza etyki? Społeczna czy metafizyczna?* Trudno mi sobie wyobrazić człowieka, który się nie zastanowi nad takim pytaniem. Jeżeli nie chcę zabijać, chcę wiedzieć, dlaczego nie chcę zabijać, i chcę sobie wytłumaczyć, skąd bierze się we mnie pewność, że nie wolno zabijać. Wytłumaczyć i pewność — to może za wiele. Powiedzmy: odnaleźć w sobie przekonanie. Czy moralność jest umową, którą można zmienić, czy imperatywem niezmiennym w swojej istocie. To jedno z pytań najbardziej obgadanych filozoficznie, ale też jedno z najważniejszych, najbardziej personalnych, jakie można człowiekowi zadać, i radziłbym je umieścić w ankiecie.

— Moja odpowiedź? Moja odpowiedź jest pochodną mojej niewiedzy. Skoro nie wiem, czym jest początek, muszę go uznać za niewiadomą. A skoro również nie wiem, czym jest koniec, muszę uznać za niewiadomą to, co istnieje między nimi. Ponieważ nie znam przyczyny ruchu wewnątrz atomu, muszę uważać energię materii organicznej za tajemnicę bytu. A więc nie jest mi dostępna moja własna przyczyna i sens. W symbolice wszystkich kultur powtarzają się jednak pewne wspólne znaki, wskazujące na związek między istotą życia a wartością cnoty oraz na trójjedność przyczyny, środków i celu. Znaki te wiążą zazwyczaj wolę Boga z losami człowieka, z jego zasługą lub winą na ziemi, z nagrodą i karą. I to nie tylko w naszej białej kulturze, greko-judeo-chrześcijańskiej. Religijne ontologie Wschodu mają pierwiastki etyczne, czyny ludzkie są oceniane w świetle transcendencji, a dusze odbywają wędrówkę pośmiertną ku wiecznej harmonii. Te wspólne znaki zdają się podpowiadać, że to, co nazywamy Złem, jest nieprawidłowością, zbłądzeniem na drodze, której nie znamy. Więc zważywszy to wszystko, jako człowiek odpowiedzialny powinienem z namysłem przystanąć na granicy wyznaczającej strefę mojej niewiedzy i, jak powiadam, zdecydować się. Na co? Na hipotezę roboczą nie uchylającą logice i instynktowi. W milczeniu przeżywam swoją nieświadomość i swój strach przed złem. Nie tłumaczę za-

gadki bytu, nie nazywając jej żadnym imieniem — jak mi zostało przykazane — wystrzegam się zła, gdyż liczę się z możliwością jego złych skutków tutaj i w innych, nie znanych mi światach. Z rozumem jest to bardziej zgodne, niż racjonalistyczna pewność, ograniczona zmysłami. Jeden z moich znajomych, fizyk matematyczny, wyjaśniał mi kiedyś, na czym polega jego praca badawcza nad budową jądra atomu. Wyobraźmy sobie piłeczkę pingpongową wrzuconą do ciemnego pokoju, w którym z jej odgłosów i rytmu jej odbić mamy ustalić kąty ścian i rozstawienie mebli. Powiedziałem, że chcę być dobrym człowiekiem. Uznajmy to za rodzaj eksperymentu w ciemnym pokoju. Powiniennem w nim wybrać jakiś sposób postępowania. Wybieram najprostszy: zachowywać się, również wobec siebie samego, tak jakby pokój był jasny, a w nim zasiadał nasz Sędzia. Czyli postępować i myśleć tak, jak gdyby Bóg istniał i zło było możliwe do całkowitego wyplenienia. Uważam to za najużyteczniejszą z hipotez roboczych. Ale przyjmując tę prostą hipotezę, stosowaną dawniej w wychowaniu dzieci, muszę ją wybudować na gruncie moich życiowych doświadczeń i mojej wiedzy o świecie, nie tak bardzo prostej i weale nie dziecinnej. To nie jest łatwe. Powtarzam jednak, że wszystko jest tu propozycją stawianą sobie i na własny rachunek.

— Przypuszczam, że autorzy pytań byliby ciekawi, jak ją wypełniam w moim codziennym życiu. Tę propozycję, tę hipotezę. Otóż nie wdając się w szczegóły mogę stwierdzić jedno: pierwszym warunkiem jest redukcja potrzeb. I od razu w tym punkcie podzieli nas różnica zdań. Dzisiaj na Zachodzie rozwój osobowości ludzkiej utożsamia się z coraz pełniejszym zaspokajaniem impulsów i potrzeb, a wolność — z prawem do szczęścia. Ale moja półkula świadomości reaguje inaczej. Nie wykluczam tego, że jej odruchy są amputowane przez cykl historyczny, w którym potrzeby jednostki nie mogły się w pełni ujawnić, coraz to blokowane jakimś nadrzędnym szantażem czy zbiorowym samozniewoleniem. W społeczeństwach, w których niewola jest pojęciem maszyny losu działającej z zewnątrz, wolność staje się wyobrażeniem religijnym, oczekiwaniem na coś, co również nadejdzie z zewnątrz, od losu, nie od praw ludzkich. Tak odczuwana wolność nie jest społecznym atrybutem człowieka, lecz wchodzi w sferę zbawienia. „Prawo do szczęścia” w takim odczuciu wolności nie istnieje, bardziej realnie istnieje śmierć za wolność. Toteż mnie zredukować swoje potrzeby jest z pewnością łatwiej niż komuś przygotowanemu do szczęśliwego życia w Kalifornii. Tym łatwiej zresztą mnie, że — jak już powie-

na pytanie dotyczące *m o j e g o* małżeństwa, bo tę odpowiedź znałem już przed pytaniem. A takie pamiętane odpowiedzi z czasem są coraz mniej prawdziwe i coraz bardziej różnią się od oryginału. Chciałbym się tu oderwać od siebie, z którym żyję na co dzień, z którym jem, chodzę i śpiam — dowiedzieć się, czy ten osobnik w ogóle umie myśleć, czy dorobił się jakiegoś stosunku do świata, czy może tylko świat dorobił się jego chodzenia i spania. To jest moja część zabawy.

— Dobrze. Na razie odkładam poglądy na małżeństwo i pozostając przy sprawach natury motorycznej przechodzę do innego punktu: *Główny motor pana postępowania? Jak go pan nazwie: społecznym? moralnym? biologicznym?*

— Ankieta wciąga mnie w fikcje. Główny motor! Społeczny, moralny, biologiczny! Czy niepotrzebne skreślić? Na miłość boską, główny może być motor w Fordzie „Cortina”, ale w nas, we mnie? Złe sformułowany punkt ankiety.

— Bo zacznijmy od tego, że przeciętnie zdrowy człowiek nie zna prawdziwej motywacji swego postępowania. Owszem, dochodzi do niej. Czasami, nie zawsze. Na ogół dochodzi do niej wtedy, kiedy nie jest już przeciętnie zdrowy. Dochodzi do niej w miarę wyzwalania się swojej psychologicznej samowiedzy. Przeważnie jest to rodzaj łańcuchowej katastrofy. Poprzez wewnętrzne wybuchy i pęknięcia ktoś, dajmy na to, odkrywa, że jest kilkoma skłóconymi i oszukującymi się ludźmi, że ma o sobie sprzeczne opinie i może w rozmaity sposób interpretować swoje zachowanie. I że prawie nic o sobie nie wiedział w jakimś dniu, w którym — przypuśćmy — zabił człowieka. Przypuśćmy następnie, że ten człowiek był jego erotycznym rywalem. Impuls pozbycia się rywala wynika z popędu biologicznego, jeden samiec zabija drugiego samea. Lecz kiedy sprawa toczy się między ludźmi, obowiązuje moralny zakaz zabijania. W danym jednak wypadku rywal jest osobnikiem szkodliwym dla zbiorowości, jego działalność może spowodować śmierć cenniejszych jednostek. Zasada moralna ulega więc presji społecznej, zabójstwo będzie usprawiedliwione interesem dobra publicznego. Ostatecznie strzał pada w wyniku gry trzech sił. Bodźce nie były jednolite, ale zostały jak gdyby uzgodnione w drodze targu. Przypuśćmy w dalszym ciągu, że człowiek, który wystrzelił, nie uświadamia sobie tej konstrukcji — przedstawionej tu zresztą w nader grubym schemacie. Motywy jego czynu wydają mu się proste, są bowiem ustalone przez środowisko, w jakim żyje. Środowisko nazywa takie czyny spełnieniem obowiązku. W da-

nym przypadku był to obowiązek patrioty, obywatela, żołnierza, i taką świadomość ma wykonawca egzekucji. Świadomość zbiorową, nadaną mu zamiast własnej. Wyobrażajmy sobie dalej. Po kilku latach człowiek ten dowiaduje się, że mężczyzna, którego zastrzelił spełniając swój obowiązek, był z pewną kobietą związany bliżej, niż chciała to wówczas ujawnić. Sprawiedliwy wykonawca przeżywa wstrząs. Jego czyn nagle traci swój prosty i oczywisty wymiar, przez sekundę majaczy mu refleksja, czy pobudką zabójstwa nie była podświadoma zazdrość. W następnych chwilach wyłaniają się inne wersje, inne możliwości, inne przypuszczenia i domysły, pogmatwane, pozazębiane o siebie. Fakty sprzed kilku lat znowu ożyły, teraz jednak pracuje nad nimi myśl. Myśl porusza się w tym samym obwodzie gry, natrafia na te same krzyżujące się presje i konflikty, lecz nie jest już częścią zbiorowej świadomości — teraz chce się kontrolować, chce poznać swoje elementy i prawa, jakim ulega. W końcowym rezultacie, jeśli w ogóle można tu mówić o końcowym rezultacie, mój fikcyjny bohater nie dowie się, jaki był główny motor jego postępowania. Pomyśli najwyżej, że prawdopodobnie działał z wielu pobudek naraz i że te pobudki wależyły w nim między sobą, a jednocześnie nawzajem się wspierały. Być może, jeżeli zabraknie mu odwagi w samoanalizie, w końcu się zakłamie i uwierzy, że zgładził przeciwnika jedynie w trosce o dobro zbiorowe. Ale jeśli się nie cofnął i chce dalej prowadzić doświadczenie ze sobą, nie będzie miał w zamian nic prócz niepewności. Czuje, że się nie zidentyfikował i nie wyodrębnił swojej prawdy. Doszedł tylko do miejsca, z którego widać nieprawdę. Z tego miejsca będzie się obserwował i tego miejsca odtąd nie będzie mógł opuścić. Można by to nazwać głównym motorem jego postępowania.

— Jedynie chwila wstrząsu po kilku latach jest w tym opisie autentyczna. A jednak w okolicznościach nieco tylko zmienionych wszystko mogło się odbyć tak, jak tu opisałem. Gdyby, zamiast wykraść mój pistolet, uprzedziła mnie o niebezpieczeństwie i gdybym postanowił wykonać egzekucję sam, po trzech latach dowiedziałbym się, że zabiłem mężczyznę, z którym była związana. Przypominam sobie dokładnie moment ogłuszenia po jej słowach: „zastrzeliłam go w nocy na jego własnym tapczanie” — i moją odpowiedź: „dobrze, że nie powiedziałaś mi o tym wtedy”. Czuję się mniej więcej tak, jak ktoś, kto słyszy wybuch bomby zegarowej w pokoju, z którego się niedawno wyprowadził. Było to w roku 1948, wiosną, we Wrocławiu, na dzień przed naszą sprawą rozwodową. Przez sekundę podzięko-

wałem Bogu za przekazanie mi tej prawdy z kilkuletnią zwłoką. Gdybym ją znał trzy lata wcześniej, w marcu 1945 nie pojechałbym do Kielc i nie przywiózłbym stamtąd mojej córki.

— Świetnie. Punkt 20 kwestionariusza brzmi następująco: *Znaczenie popędu seksualnego w pana życiu? Wynikające stąd problemy osobiste?*

— Wybieram z kolei ten punkt, żeby się rozerwać. Kilkakrotnie zdaje się wspominałem, że stosunkowo łatwo potrafię opanowywać w sobie bodźce przyrodnicze. Może nie tylko dzięki rygorom charakteru. Proszę sobie wyobrazić młodego człowieka, w którym wcześniej obudził się popęd seksualny. Jest dostatecznie wrażliwy, aby zaznać męki wstydu i wyrzutów sumienia wskutek podnieć, które wydają mu się upokarzające. Widok kobiecej nogi przyprawia go o halucynacje. Każda nowo poznana dziewczyna to obiekt jego głodu, przy każdym spotkaniu, w kinie lub na spacerze, myśli wyłącznie o tym, czy, kiedy i jak ją skonsumuje. Jest zawsze w stanie napięcia, zawsze pochłonięty łaknieniem, które musi ukrywać, zawsze skompromitowany przed sobą. Bo coraz częściej widzi siebie z zewnątrz, ze swoją donżuańsko uśmiechniętą twarzą i obiecującymi, nieszczerymi słowami, widzi się jak własną karykaturę i zaczyna odczuwać nieznośne zwątpienie odnawiające się po każdej zdobyczy. Jest przekonany, że nie umie kochać. Partnerki budzą w nim niechęć po jednorazowym sukcesie. Na opór reaguje wściekłą zazdrością, która gaśnie po zaspokojeniu. Czuje w tym wszystkim pustkę serca, jakąś paskudną deklasację podobną do upodlenia niewolnika. Wie, że kłamie i używa podstępów, zdaje sobie sprawę z tego, że swoim stosunkiem do kobiet niszczy własne pojęcia o związkach między ludźmi, że gdzieś ponad jego manią istnieje miłość, przyjaźń, wierność — wie o tym, ale jest bezradny. Odgaduje, że ma do czynienia z potężnymi siłami, których nie zmieni i którym się nie oprze. Z taką skazą można jednak istnieć, zdawać egzaminy i jeździć na wakacje.

— Koń zrzucił mnie z siodła w czasie wakacji, które spędzałem na Podlasiu u rodziców mojego szkolnego kolegi. Wyrzniętym grzbietem o korzeń, poczułem ból, ale podniosłem się o własnych siłach. Zdarzyło się to na leśnej przecince, wróciłem truchtem na podwieczorek i nie przyszło mi do głowy komukolwiek o tym wspominać. Po kolacji miałem umówione spotkanie z kuzynką mojego kolegi, młodą mężatką, która nie robiła mi trudności. Spacer powinien był się zakończyć w opuszczonej wozowni, stało tam rozłożyste lando bez drzwiczek i siedzeń. Tej nocy spędziliśmy w nim trzy godziny. Po raz pierwszy rozmawiałem z

kobietą nie pragnąc przewrócić jej na wznak, mimo że czekała na to. Prawdę mówiąc ja także czekałem. Aby uniknąć nieporozumień: mogło to nastąpić i przypuszczam, że odbyłoby się prawidłowo. Czułem tylko, że mniej mi zależy na osiągnięciu celu, odkładałem je na późniejszą chwilę, jakby z góry żałując spokojnego nastroju tej rozmowy, który musiałby ustąpić miejsca kurezowym podrygom i sapaniom. Do północy rozmawialiśmy o jej mężu, którego chyba kochała, i o zdradzie małżeńskiej, czy jest tym samym w wypadku mężczyzny i kobiety. Była inteligentna. Spotykałem później wiele inteligentnych, sympatycznych kobiet i lubiłem z nimi rozmawiać. W ciągu następnych lat przeżyłem kilka bliższych związków i miłość. Jeżeli ma pan jeszcze jakieś wątpliwości, mówię wyraźnie: upadek z konia zmienił mi osobowość. Jest coś niesłychanego w tym, że przemiana nastąpiła mechanicznie — podnosząc się z ziemi byłem już kimś innym. Rentgen wykazał tylko lekkie skrzywienie kręgu, lecz dzięki temu skrzywieniu jak gdybym odzyskał ludzką godność. Zaszło to z dnia na dzień, właściwie w ciągu pół godziny. Gdybym wskutek upadku został na całe życie kaleką, sprawa byłaby prostsza. Ale stać się przyzwoitym człowiekiem wskutek stuknięcia o korzeń? To nie żarty. Było tak, jak bym się nagle wyzwolił z dzikości i obudziło się we mnie sumienie. Niech pan pomyśli. Sumienie się budzi przez skrzywioną kość. Potrafiłem odtąd przestrzegać fair play i nie oszukiwać partnerek, umiałem panować nad instynktami, kontrolować własne odruchy. Powiększył się we mnie spokój, stałem się bezinteresowny i wolny od biologicznej zazdrości. Ale czy wszystko jest w porządku? Czy jest w porządku, że przesunięcie chrząstki w kręgosłupie zastąpiło mi pracę moralnego odkupienia? Co by było, gdybym nie spadł z konia? Erotomani nie zawsze jeżdżą konno. Co mają robić ci, którzy nie spadli? Na Boga, nie wiem.

— Coraz lepiej. Wczoraj do hotelu wróciłem nad ranem, dzisiaj zaczynam z pustą głową. Jeden opuszczony seans i jedno złamane postanowienie: przed chwilą wysłuchałem paru ostatnich zdań taśmy, żeby dalej pociągnąć moje solo. Na czym stanęło? Stanęło na punkcie, który zapewne pochłaniał umysły Ojców Kościoła półtora tysiąca lat temu. Organizatorzy świata chrześcijańskiego byli intelektualistami, Kościół powstawał z dyskusji. W polemikach i korespondencjach wykuwano zręby wiary: plan myśli i środki działania. Zajmowali się tym ludzie świadomi praw psychologii, z pewnością przenikliwi znawcy życia. Musieli ułożyć listę pytań: co ma robić człowiek ze swymi

popędami, ze swoją żądzą i strachem — jak skanalizować jego potrzebę wolności — jak przed nim ukryć jego niewolę — co ma uczynić ze swoją wiedzą o śmierci — czym mu zastąpić jego niewiedzę o przyczynie i celu. I tak dalej. Bardzo długi kwestionariusz. Odpowiedzi na te pytania profesorowie chrześcijaństwa opracowywali w ciągu stuleci. Pan mi dał trochę mniej czasu. Pięknie, więc co mają robić ci, którzy nie spadli z konia, ci omroczeni niewolnicy własnej krwi i spermy, i co mają robić inni, skazani przez naturę na inne diabelskie męki.

— Widzi pan, nie czuję się w swojej skórze jako moralista. Ale to pytanie jest najzupełniej rzeczowe, chodzi o sprawy praktyczne. Profesorowie chrześcijaństwa byli także realistami, znali miarę rzeczy. Ustalili, że człowiek może się wykupić przez usiłowanie. Ofiarowali mu szansę, umożliwili ratunek, rozsądni moralisci nie budują cel bez okien i nie stawiają klatek, z których nie ma wyjścia. Zbawienie polega na wysiłku. Niebo stawia umiarkowane warunki, prosi o żal i dobrą wolę. Nie żąda samopalenia, zaleca ból i nadzieję. Twierdzi, że trzeba cierpieć, ale odradza rozpacz. A przede wszystkim zapewnia, że nigdy nie jest za późno i że nie jest za późno dla nikogo. Poza tym człowiek zbawia się prywatnie, Niebo odwraca wzrok od spraw między jednostką a władzą. Cesarzowi co cesarskie — czy to nie oznacza zrozumienia dla sytuacji przyzwoitych ludzi żyjących pod tyranią? Więc Niebo popycha na kłęczki, ale nie pod topór. Bo chrześcijańscy intelektualisci potrafili uwzględnić różne okoliczności życiowe oraz uświadamiali sobie granice ludzkiego oporu wobec natury i historii. A o jednym musieli być mocno przekonani: że prawda jest poza światem widzialnym i że można ją człowiekowi przybliżyć tylko przez dopisanie sensu do jego życia i śmierci.

— Wie pan, nie myślę, że byłoby łatwo przekroczyć tę odpowiedź. Jest dobrze obliczona, na zwykłą ludzką miarę, a zarazem tę miarę powiększa. Rozszerza ją — o niepokój, o refleksję, o marginesy wolnej woli. I o hipotezę roboczą istnienia. Wszeczasady. Wszystko to mądrze obmyślane dla człowieka. Ja także przed moim upadkiem z konia nie byłem zdeklarowanym kandydatem do piekła. W głębi duszy sądziłem, że człowiek nie jest zły, a w świecie umiałem dostrzegać pozamaterialne wartości. Gdyby ten koń nie zrzucił mnie z siodła, musiałbym się dalej smażyć w swojej siarce i żyć wśród ludzi. A żyć z pogardą dla siebie chyba bym nie potrafił. I to już byłby punkt na moją korzyść. Przecież czegoś bym od siebie chciał, jakoś bym próbował się zmienić i o coś ze sobą się szarpał. Pewien stary komik,

z którym przed wojną grywałem w bilard w cukierence obok teatru, twierdził, że aktorzy dzielą się na złych, dobrych i wielkich. Wielej aktorzy to są dobrzy, którzy robią postępy. Otóż wierzę w postępy. Jestem przekonany, że każdy ma szansę i nie jest za późno dla nikogo. Czy to naprawdę niemożliwe: zmusić się do człowieczeństwa? W gruncie rzeczy co robimy innego, jak tylko bezustannie zmuszamy się do człowieczeństwa. Z lepszym czy gorszym wynikiem. Mniej więcej. Więcej albo mniej. W swoim zakresie i w granicach możliwości. Na miarę.

— Daleko odbiłem się od pytań. To skutek wczorajszej nocy. Dwoje młodych aktorów ze „Studio XX” zawiozło mnie volks-wagenem 30 kilometrów za miasto. Spędziłem noc w starym młynie. W młynie przerobionym na kwatery jakiejś artystyczno-religijno-młodzieżowej sekty. A może ruchu politycznego, a może grupy narkomanów. Nie wiem, trudno mi się było zorientować. Chłopcy z włosami do ramion, w tunikach i sukniach przepasanych ozdobnymi łańcuchami, dziewczyny w połatanych spodniach i swetrach, albo półnagie, o małych dziecięcych piersiach. Okazywano mi sympatię, byłem chyba dla nich kimś w rodzaju profesora rewolucji. Wiedzieli, że w Polsce rządzą komuniści, a pewien Chrystus w okularach i z niemieckim krzyżem żelaznym u szyi wypytywał mnie o Różę Luksemburg, czy nasza młodzież studiuje jej pisma. Siedzieliśmy na matach, słuchaliśmy Beethovena i Haydna. Obok mnie dziewczyna z tatuażem na ramionach, w którym przewijał się motyw penisa, szeptała mi, że jest mao-trockisto-guevarystką i że nazywa się Uth Seenzen. Potem coś wahałem i paliłem, ale bez skutku. A potem podskakiwałem razem ze wszystkimi, bijąc w jakiś bęben. Zdaje się, że to był murzyński bęben, z sierścią i ogonami. Uth Seenzen, bardzo ładne nazwisko. O pięć lat młodsza od mojej córki. Mówiła do mnie po imieniu, czułem się trochę jak socjalistyczny Dziadek Mróz, a trochę jak pan Pickwick, któremu przysniły się elfy. Postanowiłem jednak niczemu się nie dziwić i udawało mi się to zupełnie niezłe. Do końca nie wypadłem z roli, nawet po ciemku, siedząc na tym bębnie. Taktownie zostawili mnie samego z fajką. Siedziałem w woni kadzideł, bodajże indyjskich, z ciemności dochodziły do mnie szepty i jęki. A później, kiedy ta dziewczyna wróciła, zaczęliśmy rozmawiać. O czym? O podatkach. Dowiedziałem się, że walczą przeciw opodatkowaniu na rzecz starych ludzi. Wprowadzono tu nowe ubezpieczenia socjalne: każdy człowiek po sześćdziesiątym roku życia ma być szczęśliwy. Utrzymuje go społeczeństwo, rząd daje mu mieszkanie z bezpłatnym telefonem — po to, żeby mógł

wzywać lekarza. Na pewno słyszał pan o tym. Otóż Uth Seenzen i jej koledzy organizują w tej sprawie uliczne demonstracje. Nie będą płacić podatku na cudzą starość, ponieważ chcą żyć krótko i umierać gwałtownie. Popędniają samobójstwa, giną na autostradach, starość ich nie dotyczy. Ta dziewczyna po chwili odeszła, ktoś ją zabrał po ciemku. Chciało mi się śmiać, bo uprzytomniłem sobie, że siedzę nocą w zrujnowanym młynie na bębnie murzyńskiego wojownika, a wokół mnie odbywa się jednocześnie dziesięć aktów miłosnych przy dźwiękach Piątej Symfonii. Moje młodzieńcze problemy etyczno-seksualne! Uth Seenzen osłupiałaby ze zdumienia, że ktoś może łączyć seks z etyką. Jej młodość jest wyzwolona z pruderii i kłamstwa, a przed problemami zabezpieczona pigułką antykoncepcyjną. Taki jest nowy wspaniały świat, w którym dzieci mają prawo do rozkoszy, jak do picia i ciepła — świat, w którym nie ma starości. A jednak chciało mi się śmiać. Nie bardzo wierzyłem w nowy wspaniały świat i w wyzwoloną młodość. W tych kaidzidłach i w tym bębnie czułem jakąś nieprawdę. I w jękach, i w kostiumach, i w pomieszaniu rewolucji z modą. Nieprawdę inną, niepodobną do tamtej, którą znam i z którą żyję na co dzień. Inaczej działającą, na pewno barwniejszą i na pewno mniej zorganizowaną... A jakże, oni są bezinteresowni, mają fantazyjną wyobraźnię i swobodę ptaków, i nawet ideologię, tak, ubierają się w liturgiczne szaty, przejęli styl życia od artystów, pogardę dla kariery od filozofów i nienawiść do przeszłości od rewolucjonistów. I nie stworzyli ani religii, ani sztuki, ani filozofii, ani rewolucji — są może tylko maskaradą w jakimś dziejowym antrakcie. Drzemałem na tym bębnie, chwilami jednak przychodziło mi do głowy, kto z nas jest po ludzku prawdziwszy na tym świecie, ja czy oni. Ja, kordialny słowiański wujaszek, z moją dialektyczo-historyczną biografią wypchaną polonikami — czy oni, ze swoją zbiorową młodością i komunią ciał wprawianych w rytm przez slogany, seks i stereo. Oni ze swoimi „guru”, czy ja z „Życiem Warszawy”? Chciało mi się mniej śmiać, poczułem litość. Nad nimi i chyba nad sobą. Może ta muzyka trochę mnie rozkleiła, a może jednak czegoś się naważać. Bo nagle w ciemności zacząłem przeżywać ogromne zdziwienie jedną, prostą myślą. O śmierci, która dla nich i dla mnie będzie przecież tym samym, tym najprawdziwszym, czego nie można oszukać i przed czym nie sposób się ukryć. Naturalnie, pomyśli pan, że majaczyłem. Dobrze, ale teraz jestem przytomny.

— W kwestionariuszu nie ma pytania dotyczącego śmierci.

Temat został skrupulatnie pominięty. Bóg, wolność, samochód, rodzina, wykształcenie — znakomicie. Ankieta domaga się odpowiedzi we wszystkich niemal sprawach — prócz tej jednej. Kwestionariusz opracowali Amerykanie i oczywiście to wiele wyjaśnia. Na pewno pan zauważył, że Amerykanie nie lubią mówić o śmierci. Cywilizacja i śmierć, jest w tym niemiła sprzeczność. Młode, prężne cywilizacje są optymistyczne w założeniu, umieranie stanowi dla nich jakiś błąd natury czy niedokładność techniczną, z którą się jeszcze nie uporano. Ale i na to przyjdzie czas w nowym, wspaniałym świecie. Istnieje wiele koncepcji nowego, wspaniałego świata i w żadnej — bezklasowej czy technotronicznej — kostucha nie jest przyjemnym tematem. W nowym, wspaniałym świecie Uth Seenzen umiera się wcześniej i szybko, śmierć powinna być niezauważalna jak ukłucie strzykawki w czasie snu. Wie pan, oni także są dziećmi cywilizacji. Może pomyłonymi wnukami, ale są potomstwem maszyn i laboratoriów, a ich bunt to odwrócona wiara w życie. Cecha cywilizacji. Śmiercią zajmuje się kultura, cywilizacja musi wierzyć w życie. Czy nie nudzę pana? Obawiam się, że powtarzam rzeczy dawno sformułowane przez innych. Nie zdziwiłbym się, gdyby pan pomyślał, że człowiek, któremu widok pięknej dziewczyny kojarzy się ze śmiercią, to diabelnie ponury facet. A jednak może nie tak ponury, jak by się zdawało, zresztą kto wie, czy ten facet nie miewa jeszcze innych skojarzeń. Ale moje lata... Mężczyzna po pięćdziesiątce to drżąca łania, którą może ustrzelić spojrzenie jednej dziewczyny. Trzeba mnie chronić przed odstrzałem, już niewielu takich jak ja biega dziś po łąkach. A poza tym, ja — z czym ja mogłem się jej skojarzyć? Bądź co bądź umknęła przede mną. Ja także kiedyś umykałem, nudziły mnie powieści, w których bohater miał więcej niż 25 lat. Dopiero później nadechodzą te myśli. Właściwie nawet nie myśli, raczej wzrastające zdziwienie, które z czasem stopniowo przekształca się w pewność. Że jednak: że to jest prawda. I wtedy zwykle oblicza się siły. I okazuje się, że mamy ich jeszcze za mało, trochę za mało i jeszcze niezupełnie jesteśmy do tego przygotowani, mimo iż przecież wiemy, wiedzieliśmy o tym od początku. Lecz przez cały ten czas przygotowywaliśmy się do czegoś innego, do jakichś rzeczy mniej ważnych, do drobiazgów. Nazywamy to działaniem. Ktoś nam wbił do głowy, że człowiek realizuje się przez działanie. Wprawdzie tam, skąd przyjechałem, nikt się nie realizuje przez działanie, bo tam działanie odbywa się mimo czy poza ludźmi, a indywidualne czyny są tam zbędne i nawet chyba niepożądane — ale tamtą rzeczywistość

kształtuje inna zasada, która być może jest tylko funkcją samo-naśladowczą, reprodukującą się o własnych siłach. Można by więc sądzić, że w tak pomyślanym świecie związki człowieka ze śmiercią powinny być bliższe i naturalniejsze, skoro nie przesłania mu jej fabularna, absorbująca masa życia. Jednakże tak nie jest. Tam również nie ma przygotowanych ani lepiej przygotowanych. A co gorsza, nie ma bardziej zainteresowanych.

— Gdyby do ankiety wstawiono pytanie — drugie z kolei, jakiego mi w niej zabrakło — gdyby więc wstawiono do niej pytanie dotyczące mojego stosunku do śmierci, to proponowałbym możliwie najkrótszy tekst: *Czy jest pan przygotowany do śmierci?* Odpowiedziałbym: „Nie. Jestem nią jednak coraz bardziej zainteresowany.”

— Jak dotąd, obcujemy ze sobą tylko psychologicznie. Żyję z jej pojęciem stworzonym z wyobrażeń, słów, obrządków. Dzieli nas jeszcze pewna odległość, trochę czasu i bariera niewiedzy trudna do przekroczenia. Bliżej stykamy się ze sobą na pogrzebach, ale w istocie to są zbliżenia z życiem. Komuś się zmarło, więc dźwiga się trumnę z ciałem, przedtem trochę muzyki, potem trochę dreptania wśród drzew, sporo znajomych twarzy. Kogoś wyniosło się z życia, co jednak nie oznacza, że odtąd lepiej pojmuje się śmierć. To nie nam bije dzwon — zawsze komu innemu. Gdyby tak obliczyć, ile razy w ciągu tygodnia myślimy o śmierci? Jeśli idzie o mnie, na pewno więcej czasu poświęcam sprawom, jakie czekają mnie za tydzień. Dzień, w którym umrę, jest najdalszym punktem mojej przyszłości, podobnie jak najdalszym punktem mojej przeszłości jest dzień, w którym się urodziłem. Ale do żadnego z tych punktów moje doświadczenie nie sięga, obydwa są poza mną. Właściwie całe moje życie powinno być nieustanną próbą zbudowania jakiegoś pomostu między tymi dwoma punktami, od których jestem odcięty. W miarę jak od pierwszego się oddalam a zbliżam do drugiego, czuję w tym bezpowrotność, grozę rozstania się z sobą. Każde „za tydzień” czy „jutro” zawiera ułamek tej grozy, skupia w sobie refleks mojego strachu przed końcem, i to jest moje zastępcze doświadczenie ze śmiercią. Więc tak pośrednio ze sobą obcujemy. Nie u źródła i nie u kresu, lecz w skali, na jaką mnie stać. W skali obaw przed nadchodzącym czasem. Przyszłość jest niewiadomą, którą mój umysł potrafi ogarnąć: wiem, że spadam w otchłań, ale skoro w nią spadam i wiem, to znaczy, że ta otchłań jeszcze nie jest nicością. Otóż chwilami podejrzewam, w czym tkwi błąd. W tym mianowicie, że wieczność i nicność oznaczają dla mnie to samo i budzą we mnie podobną

trwożę. Ach, my racjonalisci. Za Wiek Rozumu płacimy Wiek Strachu.

— Według mnie pożyteczny byłby pewien zwrot perspektywy w stosunku do własnego życia. Nazwałbym go wyborem „punktu widzenia śmierci”. Chodzi mi o to, żeby widzieć swoje życie jak gdyby od końca i żyć, istnieć, postępować w sposób, który nie pozostawałby w niedorzecznej i groteskowej sprzeczności z zakończeniem. Żyje się wtedy „na przeszłość”, koniec utwierdzi dzieło aż po jego początek, do źródła. Zazwyczaj perspektywa jest odwrotna: życie widzi się od momentu narodzin, początek jest punktem wyjściowym, dzieło rozwija się otwarte i nie zakończone. Istnieje się wtedy „na przyszłość”. Ta perspektywa moim zdaniem sprzyja cywilizacji, jest płodna w dążenia, w szanse, posuwa naprzód grę. Dla kultury płodniejsza jest perspektywa śmierci, gdyż zastępuje grę konstrukcją i poszerza życie o świadomość losu.

— Mówię, że cywilizacje nie zajmują się śmiercią. Obaj jednak wiemy, że nasza cywilizacja pobiła rekord w dziedzinie produkcji śmierci. Wiemy też, że na tę produkcję pracowały jednocześnie nauki ścisłe, techniki i ideologie. Jest coś niesamowitego w myśli, że słowo *atom* kojarzy się nam z zagładą, a słowo *socjalizm* związane ze słowem *naród* do dziś wywołuje w nas obraz strzeżonego terenu z pojemnikami dla ludzkich kości i bramą, nad którą umieszczono słowa *praca i wolność*. Po takich objawieniach kultura przestaje być zdolna do współżycia ze śmiercią. Powiedziałem „do współżycia”, bo przecież tematem kultury jest zaznajamianie i oswajanie bytu ze śmiercią, wynajdywanie ich pokrewieństw i usuwanie sprzeczności. O tym wiemy: gdyby nie istniała śmierć, nie istniałoby znaczenie życia, podstawową wartość życie nadaje sobie poprzez wiedzę o śmierci. Ale śmierć ma być zawarta w planie bogów, jedynie wtedy kultura może ją zrozumieć i uznać. Śmierć jednego człowieka tworzyła ideę życia przez niemal dwa tysiące lat, ze zrozumienia tej śmierci powstała kultura naszego świata. Tak pojęta kultura nie chce jednak ponosić odpowiedzialności za śmierć, chce być tylko jej wykładnią wobec bytu i jeśli nie umie jej zinterpretować w planie bogów, odwraca się od niej. Kiedy śmierć staje się absurdalnym produktem ludzkiego działania, kultura nie zajmuje się nią. Tak przypuszczam — że miliony ludzi, którzy za naszych czasów ginęli w obozach zagłady i polarnych katorgach, że ich masowa śmierć nie będzie tematem kultury następnych stuleci, że wchłonę ją w siebie wielki, najstarszy temat: zdolności czło-

wieka do przeżycia jednej cudzej śmierci. Mój przeżyć czyjaś śmierć to pierwszy warunek umożliwiający zabójstwo. Wiedzieć, że ktoś ginie, i żyć dalej — w tej zgodzie tkwi przyzwolenie na egzekucję całego narodu. Kultura nie żywi się ilością, wyciąga pierwiastki z wielkich liczb.

— Ale czy jest pan pewien, że w naszej epoce kultura w ogóle istnieje? Bo może to tylko różne sposoby pozbycia się odpowiedzialności za śmierć produkowaną przez cywilizację wydają nam się kulturą naszej epoki? „Byli kiedyś dawni poeci, świat był jak drzewo, a oni jak dzieci” — ktoś to u nas napisał nie tak bardzo dawno. Rzeczywistość — kiedyś, dawniej — otaczała człowieka kręgiem cieni, tak samo naturalnym jak światło, śmierć była wtedy sąsiedztwem życia. Kiedyś, dawniej. Zanim wynaleźliśmy technologię śmierci.

— Powinienem dziś wrócić do pytań kwestionariusza, ale nawiążę jeszcze do tego, na czym skończyłem wczoraj. W ankiecie znajduje się punkt 21 i domyślam się, że w tym punkcie ukryto dyskretnie temat śmierci.

Pytanie brzmi następująco: *Pana największy lęk? Jaka myśl (wyobrażenie, wiadomość, fakt) wywołuje w Panu najczęściej stan lękowy? Czy określiłby go pan jako strach przyrodniczy? metafizyczny?*

— Ani przyrodniczy, ani metafizyczny. Przede wszystkim: moje lęki nie wiążą się z myślą o śmierci. To, czego się najbardziej obawiam, dotyczy sytuacji życiowych, które można przeżywać w najlepszym stanie zdrowia. Gdyby odpowiedź miała być jednoznaczna i zwięzła, nazwałbym tę obawę lękiem przed prowokacją. Muszę jednak sięgnąć do przykładów, do zdarzeń. Opisałem tu pewien incydent z mojej pracy reżyserskiej we Wrocławiu, kiedy namówiłem autora, żeby ukrył swą niecenzuralną sztukę w głębokiej szufladzie. Po tygodniu złożono mi wizytę, którą mógłbym scharakteryzować jako poufne urzędową. Władze bezpieczeństwa zainteresowały się autorem, zwrócono się do mnie z prośbą o dostarczenie egzemplarza sztuki. Ponieważ wyjaśniłem, że nim nie dysponuję, zaproponowano mi, abym go wy dobył od autora w celu „ponownej lektury”. W kwadrans później wsiadłem do taksówki. Autor wysłuchał mojej relacji, powtórzyłem mu dosłownie przebieg rozmowy i poradziłem, aby egzemplarz zakopał albo wyniósł z domu. Na tym się skończyło. Nie miałem dalszych wizyt, autora pozostawiono w spokoju. Po paru tygodniach w wojewódzkim wydziale kultury dano mi do zrozumienia, że

byłoby praktyczniej, gdybym — nie przerywając współpracy reżyserskiej — rzekł się stałego etatu w teatrze. Wkrótce potem wróciłem do Warszawy. A po pięciu latach, w Warszawie, ten sam autor — który już przerobił swoją sztukę — powiedział mi, że egzemplarz czytały wtedy tylko trzy osoby: on, jego żona i ja. Powiedział mi, że po moim ostrzeżeniu zachodził w głowę, jaką drogą Urząd Bezpieczeństwa uzyskał informacje o treści jego utworu. Być może, nie pamiętał, że sam mógł ją komuś opowiedzieć, on albo jego żona, w każdym razie zorientowałem się, że podejrzewał mnie wtedy co najmniej o niedyskrecję. I przyszło mi na myśl, czy nie podejrzewałby mnie o coś gorszego, gdyby złożono tę wizytę jemu zamiast mnie i znalaziono egzemplarz w szufladzie, do której za moją poradą go schował. Dlaczego tak się nie stało? Prawdopodobnie w każdym zawodzie obowiązuje côté artistique, wyszukane środki dla udoskonalenia stylu, a jeśli pointa nie ma być wybita do końca, wyrafinowanie stylistyczne jest tym bardziej niezbędne. Przypuszczam, że autora chciano po prostu zastraszyć, w stosunku do mnie zaś cel był podwójny: stworzenie okoliczności, wskutek których zostałbym skompromitowany i popadł w zależność. Zwracając się do mnie bezpośrednio, cel osiągnięto tylko w części, zresztą może i to było wliczone w rachunek. Ale dzisiaj nęka mnie wstecz jedna myśl: gdyby z tą samą propozycją zwróciła się do mnie dyrekcja teatru, poprosiłbym w dobrej wierze autora o wydanie mi egzemplarza sztuki... Tak, na tę myśl czuję lęk. Nazwałem go lękiem przed prowokacją, w nie mniejszym stopniu jest to lęk przed posądzeniem o prowokację. Z takich wspomnień biorą się odruchy urazowe. Kiedy w pensjonacie, w którym spędzałem zeszlóroczny urlop, skradziono komuś pierścionek z pokoju, pierwszym moim odruchem była myśl, żeby zamykać pokój na klucz przy zejściu na posiłek. Stwierdzi pan, że to jest odruch w podobnym wypadku normalny. Owszem, z jedną poprawką: myśl o zamknięciu drzwi na klucz nie miała nic wspólnego z obawą przed okradzeniem. Przeraziłem się czego innego: że w czasie obiadu ktoś może podrzucić ukradziony pierścionek do mego pokoju.

— Zdaje się, że mniej boimy się tego, co musi nas spotkać, niż tego, co można z nami zrobić. W pierwszym wypadku czeka nas tylko jedno zakończenie, w drugim — repertuar możliwości jest nieprzebrany i nieprzewidywany.

— Powiadam my i myślę o ludziach z obu naszych półkul. Coraz trudniej będzie takich ludzi rozgraniczać, ponieważ różnymi metodami i z różnych stron budują tę samą piramidę.

Po obu stronach wznoszą ją masy. Nie trzeba do tego pogania-
czy niewolników ani wieżyczek strażniczych. Masy wznoszą tę
piramidę same przeciw sobie. Kto i gdzie mógłby dzisiejszy
świat porównać do drzewa? Czy przypomina pan sobie nasz
spacer na Nymveg Rijde? Rozmawialiśmy o nieludzkości współ-
czesnych miast i doszliśmy do wniosku, że bobry mądrzej bu-
dują swoje domki niż my. Powiedział pan wtedy kilka zdań,
które zapamiętałem. Nie przytoczę ich ściśle, ale streszczę sens.
Mówił pan: „po raz pierwszy odkryto energię zdolną do znisz-
czenia naszej planety i przekonano się, że ta sama energia po raz
pierwszy pozwoli nam ją opuścić. Wypracowano nowe zasady
równości społecznej i okazało się, że wyrosły z nich nowe, lepiej
zorganizowane tyranie. Współczesna nauka najgłębiej wniknęła
w materię i w rezultacie znalazła się u progu metafizyki.” Okre-
ślił pan te zjawiska jako niestychanie znamienne: „może nigdy
przedtem — powtarzam za panem — człowiek nie stanął tak
frontalnie zwrócony do praw swego gatunku”. I zapytał pan,
co o tym myślę, czy nie sędzę, że to oznacza koniec cyklu. Prze-
ważnie w takim momencie wymienia się uwagi o cywilizacji
sumeryjskiej albo o kulturze Majów. Ale ja odpowiedziałem
inaczej. Odpowiedziałem panu, że podobne myśli nie są moim
chlebem codziennym i że zmierzch naszego świata rzadko mi
spędza sen z powiek. O ile pamiętam, zaczął pan wtedy mówić o
czym innym. To zrozumiałe, moja odpowiedź mogła się panu
wydać trochę opryskliwa. Otóż nie. Byłem tylko zaskoczony
pytaniem. W moim życiowym obszarze nie dźwiga się odpowie-
dzialności za ludzkość. Dzieje tego kraju wytworzyły osobliwą
strukturę duchową, którą można by nazwać psychologią zwol-
nienia z obowiązku. W kraju skreślonym przez półtora wieku
z wykazu nominalnej obecności w świecie musiał się zmieniać
stosunek do świata. Wspólnota uniwersaliów — ludzkości, po-
stępu, cywilizacji — traciła tu konkretność w miarę jak malało
uczestnictwo w ogólnoludzkich interesach i pracach. Świat coraz
mniej o nas wiedział i my coraz mniej wiedzieliśmy o świecie.
Wyrabiał się pewien typ mentalny człowieka poza powszech-
nością, który ja także, o czym nie wątpię, w jakimś stopniu
reprezentuję. Niech mi pan wierzy, w Polsce nikt się nie łudzi,
że współtworzy losy świata, każdy ma poczucie — a jest to
poczucie dziedziczne — wyobecowania z epoki, jak gdyby prądy
czasu przebiegały na zewnątrz, gdzie indziej. Powtarzam, to stara
sprawa. Rodziły się z niej nostalgiczne, kompleksy, fałszywe poję-
cia i tragiczne ucieczki, a ich źródłem był zawsze brak realnych
powiązań ze światem. Trzysta lat temu Polska nie miała wpływu

ne europejskie procesy rozwojowe, ale Polacy mogli sądzić, że ocalają Europę przed Islamem. Trzydzieści lat temu mogli się jeszcze uważać za natchnienie ludzkości walczącej z hitleryzmem. Ale w ciągu tych trzydziestu lat wyklarowała się zimna świadomość kondycji Polaków jako przedmiotu dziejów. Kierowca autobusu ma tę świadomość podobnie ugruntowaną jak jego pasażer. Obydwa wiedzą, że świat się zmienia, gdyby jednak ich spytać, co się zmieniło w Polsce, usłyszysz pan, że nie. Bo w Polsce — wyjaśni panu — nic się nie może zmienić. Należy to rozumieć tylko w jeden sposób: że w Polsce o n i nic nie mogą zmienić. Sens tej odpowiedzi nie polega na tym, że przez trzydzieści lat w kraju nie nastąpiły zmiany ekonomiczne czy społeczne. Wymowa jest głębsza: że wszelkie zmiany dokonują się tam za sprawą innych sił niż żywotność społeczeństwa i inicjatywa jednostek. To jest oczywiste, to jest podstawowe, z tym się żyje. Jeśli pan spytał inteligentnego dziennikarza, co o tym sądzi, odpowie panu cyframi. Będą to cyfry przyrostu, rozwoju, postępu, i przypuszczalnie będą to cyfry prawdziwe. Pasażer i kierowca dowiaduje się tych cyfr z telewizji i z prasy. Cyfry zwracają się do nich zamiast idei. Z tych cyfr wynika, że w dziedzinie produkcji przemysłowej należymy do pierwszej dziesiątki na świecie. I tak jest z pewnością. Ale z tych cyfr nie wyłania się nasze miejsce w świecie. Masowe środki przekazu funkcjonują w jednym kierunku, do odbiorcy. Dziesięciu milionom ludzi dostarcza się codziennie informacji z o d p o w i e d z i ą, wyselekcjonowanych i skomentowanych, tak aby zwalniały odbiorcę od wyrażania sądu. Informacja dociera jak towar, po obróbce i w opakowaniu. Powie pan, że to są zjawiska powszechne, w dzisiejszym świecie nie ma „czystych” informacji. Zgoda, istnieje jednak możliwość gry między informacjami i możliwość ich przyjęcia albo odrzucenia. W moim obszarze życiowym takich możliwości nie ma, telewizja, radio i prasa monopolizują wybór oraz stosunek do przekazanych informacji. W istocie są udźwiękowioną cenzurą, wynalazkiem którego genialność polega na artykułowanym zagłuszaniu, czyli na tworzeniu płaszczyzny akustycznej izolującej od rzeczywistości. Kiedy rano dochodzi do bójek między kobietami w kolejkach po mięso, wieczorem spiker telewizyjny podaje liczby tonażu wybudowanego w naszych stocznicach.

— A przy tym nie zaniedbuje się niczego, aby społeczeństwo zachowało wrażenie pełni swoich dawnych osobowych treści. Tradycje ułańskie i hasła pozytywistyczne, romantyzm, nacjonalizm, rewolucja, husaria i praca od podstaw — wszystko jak-

by trwa nadal. Światopoglądy i pojęcia, jakie wśród napięć i zderzeń formowały w kilkusetletnim historycznym ciągu wyobraźnię i doświadczenia tego społeczeństwa, teraz puszcza się wszystkie naraz w jednoczesny sterowany obieg. W tym samym kierunku, do odbiorcy, razem z cyframi produkcji w hutnictwie i wiadomościami o bezrobociu w Anglii. Powstaje administracyjna smuga nadawcza, której celem jest ubiec świadomość społeczną i stworzyć złudzenie, że właśnie i jedynie ona tę świadomość wyraża. To nie jest prosty zabieg propagandowy, to coś więcej. Idzie nie tylko o poddanie milionów ludzi skoncentrowanej sugestii argumentów i haseł, rzecz przede wszystkim w tym, aby miliony ludzi żyło w przeświadczeniu, że ta sugestia od nich wychodzi i jest rzeczywistością. Rodzaj fabrykacji ducha zbiorowego, który krąży po obwodzie zamkniętym.

— Otóż właśnie. Czy wie pan, czego tam naprawdę brak? Dlaczego studentki z Warszawy oskubujące kaczkę w paryskich selfserwisach twierdzą, że w kraju cierpią na klaustrofobię? Bo tam się choruje na nieorganiczność życia. Widocznie musi działać jakiś zespół czynników, aby społeczeństwo było prawdziwie osadzone w świecie i miało poczucie wartości swego istnienia. Polska XVI wieku żyła „w prawach”, Francja od wybuchu Rewolucji do upadku Cesarstwa żyła „w historii”, Stany Zjednoczone w ciągu ubiegłych stu lat żyły „w cywilizacji”. Posługuję się tu umownymi skrótami, myślę jednak, że można ich szerzej nie wyjaśniać. Chcę powiedzieć, że dzisiejsza polska rzeczywistość funkcjonuje w strzeżonej przestrzeni, w jakimś „między”, gdzie prawa, historia i cywilizacja nie spełniają swych psychologicznych zadań w stosunku do jednostki i nie rodzą wyższych form życia. Gdzie nie ma bohaterów i nie ma komunii zbiorowego dramatu — jest tylko bezosobowa codzienność funkcji, nadawanej spoza rezerw społecznej energii. Wokół nas świat przeżywa wstrząsy, zmierza w jakimś kierunku, może jest bliski kresu, ale my — od nas nie zależy nic, my nie możemy zaważyć na niczym. Więc dlaczego mam myśleć o sprawach, które się dzieją poza mną? A gdybym nawet myślał, to na co moje myślenie się przyda? Na to, żeby powiększyło moją bezsilność?

— Jeśli z powyższych moich uwag wysnułby pan wniosek, że żyję w kraju kierowanym przez jakiś precyzyjny komputer, który wypełnia swoje ponadosobowe zadania, to byłby pan w błędzie. A obawiam się, że z tego, co powiedziałem, może pan takie wrażenie odnieść. W rzeczywistości krajem zarządza war-

się twarzą w twarz z potężnym antagonistą. Przepraszam, to nieścisłe powiedziane: antagonistista nie ma jednej twarzy, jest ciałem zbiorowym.

— Miałbym w tym miejscu okazję do odpowiedzi na pytanie 24 ankiety: *Proszę określić przedziały socjalne w Pana kraju. Czy istnieją grupy uprzywilejowane? Ich charakter, zasada uprzywilejowania?*

— Nie potrafiłbym tu dokonać analizy socjologicznej poszczególnych nawarstwień, jakie tworzą masę społeczną ludności w moim kraju. Łatwiej mi odpowiedzieć na drugą część pytania. Grupą uprzywilejowaną jest przede wszystkim aparat polityczno-administracyjny i podporządkowane mu odgałęzienia. Tędy przebiega główny podział. Charakter uprzywilejowania? Wszelkie korzyści płynące z niekontrolowanej władzy, a zatem: bezkarność, prawo do przemocy, możność ingerencji w każdej dziedzinie życia, nietykalność osobista chroniona przez hierarchię. Między tą grupą a resztą ludności zachodzą związki, rodzaj osmozy, zależność nie zawsze daje się oddzielić od przenikania i zrostów — obserwowałem to często na moim terenie, w teatrze. Ale równocześnie utrzymuje się psychologiczna niespójność, odczuwana przez obie strony. Większość społeczna zdaje sobie sprawę, że jej interesy życiowe nie są dla aparatu bezwzględny kryterium działania i że są poddane interesom władzy. Aparat o tym wie — społeczeństwo jest dla niego materiałem, na którym przeprowadza swoje operacje i bez którego nie może się obejść, jednakże prawdziwym życiem aparatu jest wewnętrzny mechanizm hierarchii, a działanie organizacyjne tylko środkiem mającym sens w obrębie gry o wpływy. Obie strony są świadome tego stanu rzeczy, obydwie uważają się wzajemnie za konieczną obecność, z którą trzeba się liczyć, i obydwie stosują wobec siebie taktykę polegającą na fałszach i unikach. Społeczeństwo nauczyło się milczeć, władza opanowała sztukę mówienia. Społeczeństwo wie, że mówić jest niebezpiecznie, aparat rozumie, że trzeba mówić o c z y m ś i n n y m. Prawda staje się jak gdyby ogólną tajemnicą, falsyfikat — wspólną rzeczywistością. Kiedy na rynku daje się odczuć brak towarów, obywatel rozumie, że nie powinien żądać wyjaśnień od władzy: nie warto. Władza także kieruje się swoim „nie warto”: nie warto tłumaczyć obywatelowi przyczyn złego zaopatrzenia, ponieważ są zbyt skomplikowane albo zbyt kompromitujące, najczęściej zaś demaskują polityczną zależność państwa. W rezultacie mówi się o tańcach ludowych i cyfrach rozwoju. Aparat ma kompleksy wyższości i niższości. Skupia więcęj prawdziwych infor-

macji w zakresie trybu uzależnienia, lepiej zna konieczności, jakim sam ulega, są to jego tajne racje stanu, wobec których zarzuty konsumentów wydają mu się dziecinne. Krytyka w jego oczach jest zawsze nieodpowiedzialna i dowodzi tylko ignorancji — właściwych przyczyn nie można ujawnić, stanowią wiedzę hermetyczną, zaszyfrowany kod dla użytku władzy. Funkcjonariusze żyją w cieniu wierzchołków, w sferze coraz trudniejszego oddychania obgrywają swoje stawki, to jest ich żywioł, ich pasja — życie społeczeństwa toczy się w dole. Lecz krytyka z dołu jest zniewagą, ponieważ godzi w kompleksy niższości. Administracja nie czuje się ciałem powołanym z wyboru i wie, że gwarancją jej bytu jest zewnętrzne centrum. Administracja nie tylko o tym wie, ale wie również, że ludność o tym wie. Ta obopólna świadomość wzmagą zadrażnienia. Aparat musi się solidarnie bronić, zapierać błędów, nadużyć i nonsensów, tworzyć przejawy własnej autentyczności, swoich związków z narodem. A więc znowu tańce ludowe. Stwarzanie cech autentyczności powiększa nieautentyczność — jeszcze jedno sprzężenie zwrotne. Gdyby ludność otrzymała rzeczową informację o tym, dlaczego w sklepach zabrakło towarów, byłby to moment autentyczny w stosunkach między rządem a obywatelami. Tańce ludowe są piękne, ale kiedy mają zastąpić informacje, budzą wściekłość. W ten sposób z braku informacji powstaje anegdota o braku towarów: „Wysyłamy na Węgry gliniane kogutki, w zamian dostajemy jajka. Jajka wysyłamy do Czechosłowacji, otrzymujemy za to kureczęta. Kureczęta sprzedajemy do Bułgarii za pasztet z drobiu. Pasztet z drobiu eksportujemy do Związku Radzieckiego, który przysyła nam gliniane kogutki.”

— Świętą zasadą jest niemówienie prawdy. Kiedyś to mnie zdumiewało, nie wierzyłem, aby można być tak naiwnym albo tak cynicznym i sądzić, że społeczeństwo weźmie za dobrą monetę wszystkie te pseudo-informacje służące do przemilczania rzeczywistych faktów. Po co, skoro i tak wszyscy o nich mówią? Dlaczego nie ujawnić okoliczności, w jakich zginęli polscy oficerowie w Katyniu, jeżeli nie ma Polaka, z członkami najwyższych władz partyjnych włącznie, który by nie wiedział o tym, że zostali zastrzeleni przez funkcjonariuszy NKGB? Tak samo nie rozumiałem, czemu nie informuje się o przyczynach braku towarów na rynku, skoro ludzie wyczekujący w ogonkach byłiby mniej rozjątrzeni, gdyby im wyjaśniono, dlaczego nie mogą dostać lepszych gatunków mięsa. Nie informuje się jednak ani o przyczynach, ani nawet o samych faktach niedoborów, i może być Pan pewien, że nie dzieje się to przypad-

kowo lub wskutek bezmyślności. Jeśli coś zostało przemyślane, jeżeli coś jest świadomie i konsekwentnie strzeżone, to przede wszystkim kodeks omijania prawdy. Można by sądzić, że aparat popełnia w tych razach jakiś absurdalny błąd. Kiedy z rynku znika tańszy gatunek towaru, wiadomo z góry, że za tydzień ten sam gatunek pojawi się w sklepach pod inną etykietą i po droższej cenie. Ulica nazywa takie produkty „przechrztami” i klnie, ale gazety podają radosne wiadomości o wzbogaceniu asortymentu i nowych, estetycznych opakowaniach.

— Wydawałoby się, że nie można postępować głupiej. Tak sądziłem przez długi czas i chyba nie miałem racji. To wcale nie jest głupie. Z punktu widzenia rządzących nie jest głupie. Rzecz nie nazwana pozostaje zawsze mniej groźna, niż słowo, które ją określa i wskazuje, dopiero słowa nadają faktom społeczną siłę działania. Wschodnie biurokracje zawsze o tym wiedziały. Wiedziały, że nazwać rzecz jej prawdziwym imieniem to znaczy nadać jej życie, treści uruchamia się przy pomocy słów. Doświadczeni przestępcy także o tym wiedzą: nie przyznają się do winy nawet gdy złapano ich na gorącym uczynku — idą na zapartego. Władza jest przyłapywana na gorącym uczynku codziennie, i codziennie, w żywe oczy idzie na zapartego. Zastanawiająca analogia: politycy i kryminaliści to przecież różne środowiska, widocznie jednak spokrewnione sekretną wiedzą o metodach i regułach gry.

— To tylko nam się wydaje, że najlepszą metodą jest prawda. Nie doceniamy skutecznej magii przeinaczania faktów, mówienia „białe” o czarnym wobec milionów ludzi umiejących odróżniać biel od czerni. Szydzimy z tej wulgarnej magii, mimo iż sami jej ulegamy i ona nas także obezwładnia. Bo milczymy. Tak czy owak, milczymy, nie otwieramy ust, aby publicznie i na głos powiedzieć to, o czym myślimy i wiemy, i o czym o ni wiedzą. Czy to nie oznacza, że cel został osiągnięty? Możemy się cieszyć własną świadomością i gratulować sobie, że nie jesteśmy osłami. Tak, nie nabrano nas. Ale nie potrafimy ryknąć ani wierzgnąć. Zaczarowano nas, nosimy osłe głowy, ale zachowujemy się rozsądnie.

— Rozsądnie. Na miejsce prawa, etyki zbiorowej i indywidualnej, na miejsce zasad życia i myślenia opartych o wartości ludzkiej wspólnoty, na to miejsce dzisiaj wchodzi pragmatyzm zarządzających, dyspozycyjnych i rządzonych. Władza nie przestrzega praw, które ją krępują — społeczeństwo odpowiada tym samym. Nie ma hamulców w tym zakresie i gruntowną omyłką byłoby uważać współczesnych Polaków za

społeczeństwo religijne. P r a g m a staje się duchem spraw-
czym publicznych i prywatnych poczynań, żyć to znaczy postę-
pować skutecznie, czyli osiągać swoje cele — to znaczy
z a ł a t w i a ć. Takie są społeczne kryteria i miary, niemalże
powszechne. Bo gdzie istnieją inne? Wytwarza się koło błędne:
krążenie poza prawem od państwa do społeczeństwa i od spo-
łeczeństwa do państwa — to samo z góry w dół i z dołu do
góry. Jeżeli w tych warunkach mimo wszystko masa awansuje
do lepszego bytu, odbywa się to za cenę moralnego zrogowacenia
i zwicnięć umysłowych.

— Tak przedstawiają się z grubsza okoliczności, w jakich
żyje inteligentny człowiek w Polsce. Jest to, rzecz jasna, obraz
niepełny, schematyczny.

— Przypomina mi się pewien pogrzeb. Był to pogrzeb bez
duchownych, z kompanią honorową i orderami niesionymi na
poduszce, nie pamiętam pory roku, chyba późna jesień albo
koniec zimy, w każdym razie dzień ani upalny, ani mroźny.
Właściwie ten pogrzeb niewiele się różnił od innych wypra-
wianych na koszt państwa, może tylko było więcej osób. Przy-
jechałem z moją córką Mewą, w alei ementarnej znalazł się
przy nas Icz. Mewa była jeszcze w liceum, prosiła, żebym ją
zabrał, bo zmarły miał kiedyś wieczór autorski w jej szkole i
pamiętała kilka jego wierszy. Przypominam też sobie, że Icz
stojąc obok nas szeptał coś, co mnie irytowało, zdaje się o końcu
ery patetycznej czy jakoś podobnie, i ciągle przysuwał się do
mnie mówiąc, że to wszystko jest niesłychanie ciekawe. Nie
zrozumiałem, o co mu chodzi, i zacząłem się uważniej rozglądać,
ale dalej widziałem te same odkryte głowy, te same twarze.
Zawsze mnie trochę denerwowała jego elokwencja. Później jed-
nak, w tramwaju, uczepił się na dobre i tłumaczył mi, co miał
na myśli. To mianowicie, że zmarły, a nazywał go jego zdro-
bniałym imieniem, że Władek zamknął okres, w którym rew-
olucja powoływała się na swoją romantyczną przeszłość —
powiedział: „na krew i słowo” — i że odtąd inteligencja prze-
stanie jej być potrzebna. Bo to, co inteligencję pociągało w
rewolucji, hasła socjalno-etyczne, wyrównanie krzywd i zniesie-
nie wyzysku, to już można by uznać za praktycznie spełnione,
a najbliższe lata rozpoczną nową fazę, którą Icz określał jako
epokę chłopskiego utylitaryzmu. I w tej nadchodzącej epoce
inteligencja stanie się klasą wywłaszczoną, będzie musiała zapła-
cić rachunek za swoje rewolucyjne programy, za koncepcje i
teorie — za ideologię. Mówił jeszcze o Marksie, Freudzie i Ein-
steinie, nazwał ich twórcami XX wieku, „trzema Żydami, którzy

pozbawili ludzkość Boga". Tak się wyraził. Jeśli dobrze pamiętam. Ale chyba dobrze pamiętam.

— Nie o to zresztą chodzi, co mówił Icz. Ważniejsze było, że temu, co mówił, nie usiłowałem przeciwstawić ani jednej własnej myśli. Czułem na sobie bystry wzrok Mewy, jakby rozbawionej czy zdziwionej, że nie podejmuję dyskusji, ale doprawdy nie chciało mi się odezwać. Potem w restauracji na Krakowskim zjadłem jakieś mięsne danie i przypatrywałem się ludziom siedzącym przy stolikach. Powinienem być przynajmniej uśmiechnąć się do mojej córki, skoro nie miałem ochoty na rozmowę, a przecież mogłem wyskok Ieza od razu zbyć żartem czy wzruszeniem ramion — tymczasem po jego odejściu do końca nic nie powiedziałem, w ogóle nie otworzyłem ust. I powtarzam: nie o to chodzi, co mówił Icz, w istocie dużo więcej dawała do myślenia moja reakcja. Naturalnie nie potrafiłbym jej wytłumaczyć wtedy ani nazajutrz, ale z dystansu lat mogę wysunąć pewne przypuszczenie. Mianowicie, że podświadomie przyznawałem Iczowi słuszność, a jednocześnie odrzucałem w sobie jej wartość. Icz wyrażał tezy dotyczące rzeczywistości i prawdopodobnie nie mylił się w swoich ocenach. Gdyby rzecz na tym się kończyła, byłbym całkowicie bezbronny. Ja jednak już wtedy broniłem się. Nie znalazłem argumentów, broniłem się tylko milczeniem. Powiedziałbym, że milcząc zaprzeczałem raz na zawsze wszystkiemu, co zwraca się do mnie z zewnątrz, jako prawda, którą mam być objęty i określony bez względu na to, czy ona potwierdzi moją prawdę wewnętrzną, czy też zredukuje ją do zera. Mówiąc krótko, miałem dosyć. Czułem już zmęczenie stanem napięcia między mną a epoką, między mną a faktami i między różnymi interpretacjami faktów, zubożyłem na wszystko, co było historycznie słuszne, co mogło mnie intelektualnie przekonać, co miało rację nie we mnie, lecz w odniesieniu do mnie. Był to moment odmowy czy zerwania, na pewno dojrzewający od dawna, ale — i z tego dopiero dzisiaj zdaję sobie sprawę — chyba definitywny. Jak pan wie, takie chwile zawsze coś znaczą, chociaż nie od razu muszą się uzewnętrznić.

— Powiedziałem przed chwilą: odmowa albo zerwanie. Chciałbym uniknąć grubszych nieporozumień. Nie mam na myśli zerwania z mojej strony. Po wojnie, gdy tylko marzyciele mogli widzieć w zwycięstwie aliantów triumf idei nad siłą — zwyciężyła przecież organizacja transportu, paliwo i produkcja maszyn — każdy wtedy odczuwał potrzebę rzeczywistości na nowo sformułowanej i każdy był gotów poddać się nowym zasa-

dom współżycia. Tkwiła w tej potrzebie skompromitowana świadomość jednostki, po wojnie człowiek przestał w sobie widzieć niezamącone źródło praw i zachwiał się w poczuciu swego indywidualnego znaczenia. Prawo miało przyjść z zewnątrz w postaci reguły powszechnej. Mówię tu o sobie, ja także byłem gotów ugiąć się przed nią i pogodziłem się z możliwością osobistej klęski, jeśli byłaby to cena do zapłacenia w zamian za przyjęcie nowego porządku rzeczy. Ale po pewnym czasie zacząłem się orientować, że popełniam błąd. Między moją postawą wobec rzeczywistości a samą rzeczywistością nie było powiązań, wszystko dokonywało się poza moimi ocenami, niezależnie od moich interesów, pragnień czy przekonań. I w końcu doszedłem do wniosku, że właśnie taki porządek rzeczy stał się nową społeczną zasadą współżycia zamiast tej, na którą czekaliśmy. Więc to nie ja zerwałem z rzeczywistością. Gdybym powiedział, że to rzeczywistość zerwała ze mną, byłbym bliższy prawdy.

— Trzeba było z tego wyciągnąć jakieś konsekwencje. Wyciągały się same. Kupując prasę codzienną uświadomiłem sobie, że cokolwiek mogę wyczytać z artykułów, niewiele ma wspólnego z moim indywidualnym myśleniem i nie jest wyrukowane po to, aby mnie pobudzić do indywidualnego działania. Autorzy jak gdyby ponad moją głowę zwracali się do instancji, których opinie musiały być im wcześniej znane, ja miałem tylko przyjąć do wiadomości, że obowiązuje zbiorowy, ponadindywidualny tryb, zastępujący działanie i myślenie. Każda rubryka w gazecie utwierdzała mnie w tym poczuciu, byłem czytelnikiem dosyć inteligentnym, aby zrozumieć, że pismo nie jest redagowane dla mnie ani dla innych ludzi, spełnia jedynie funkcję w pionowym systemie samonaśladowczym między instancjami. Pewnego dnia przyłapałem się na tym, że czytam wyłącznie nekrologi. Fakt, iż ktoś umarł, pokrzepił mnie swą niezależnością, była to jedyna rubryka, w której przejawiało się życie. W nekrologach nie istniał komentarz, mieściły się w nich natomiast krótkie dane biograficzne, z których na przykład wynikało, że ktoś był oficerem w 1939 roku albo zginął w wypadku samochodowym wraz z żoną. Informowała o tym nie redakcja, lecz osoby prywatne: rodzice, dzieci, przyjaciele. W rzeczowej, konwencjonalnej formie przykuwał uwagę obiektywizm i jeszcze coś szczególnie wyróżniającego, jakaś oryginalność, której z początku nie umiałem sobie wyjaśnić. Była to liczba pojedyncza. W nekrologach nie obowiązywał styl anonimowo-kolektywny, w jakim były utrzymywane inne komunikaty, donoszące w liczbie mnogiej o pracy górników, o mieszkańcach

Stolicy i o planach architektów, dzięki czemu wzmacniano sugestię, że w społeczeństwie jedyną osobą jest władza. Dowiedziałem się kiedyś, że w wewnętrznym języku naszej administracji istnieje termin „nomenklatura”: są nią objęci działacze aparatu na szczeblu dającym przywilej imienności i działacze ci przestają być anonimowi, w komunikatach wymienia się ich nazwiska. Ale umiera się zawsze osobowo, w jednym egzemplarzu. Nekrolog zawsze stanowi fabułę, wprawdzie najzwyczajszą, lecz zawsze z bohaterem. Dlatego imię i nazwisko zamieszczone w czarnej ramce wydaje się jakby czymś niecenzuralnym. Ktoś umarł bez uzgodnienia z instancjami, a w dodatku przez ileś lat żył jako oddzielny człowiek.

— Pomyśli pan, że jest w tym sporo przesady. Ja także usiłowałem trzeźwiej rozumować, nie czułem się najlepiej w skórze zgorzkniałego indywidualisty. Mówiłem sobie: buduje się domy dla robotników, wprowadzono bezpłatne nauczanie i powszechne ubezpieczenia socjalne, chłopskie dzieci się kształcą, usunięto nędzę, nikt nie cierpi głodu. Ale każda próba obiektywizacji kończyła się pytaniem: czy reformy dokonywane w interesie pracujących ludzi wymagają pozbawienia ich praw do swobodnej oceny stosunków i krytyki metod politycznych? czy muszą być dokonane za nich, czy nie mogą dokonane być przez nich?

— Właściwie od tego pytania należałoby zacząć każdą dyskusję, czy to dotyczącą problemu wydajności pracy, czy edukacji młodzieży, czy to rozwoju kultury. A takiego pytania w Polsce dzisiaj publicznie nie można postawić i przede wszystkim to pytanie publicznie się zagłusza. Jest z ducha inteligenckie, odwołuje się do teologii postępu, każdy człowiek myślący w społecznych kategoriach musi je sobie zadać, ale w każdym etatyzmie jest pytaniem najbardziej wywrotowym.

— Ktoś powiedział: „to nonsens przekreślić wszystko dla spełnienia idei równości...” Zastanawiam się, czy równość, wolność i sprawiedliwość mogą być tak do siebie niepodobne.

— Mimo wszelkich różnic, nasuwają się nieoczekiwane skojarzenia z problematyką społeczeństw masowych w pańskiej części świata. Czy nie podejrzewa pan, że obecne kryzysy i przewartościowania, zarówno w komunizmie, jak w kapitalizmie wynikają z utopijnej skazy ich założeń filozoficznych? Gdybyśmy się zastanowili nad istotą obu wielkich koncepcji urzędzenia socjalnego, wyłonionych przez ostatnie stulecia, być może obydwie uznalibyśmy za utopijne. Nie tylko tę regulującą podział dóbr według pracy i potrzeb, ale i tę opartą na wolnej

grze interesów jednostek. Tak chwilami przypuszczam: że obydwie, smithowska i marksowska, ze swą wiarą w postęp i w twórcze zdolności ludzkiej natury, nie przewidziały jej samoniszczyielskich mocy. Przecież w 1789 Francuzi, mówiąc jednym tehem *wolność, równość, braterstwo*, nie mieli pojęcia, że wtrącają humanizm w idée fixe podobną do perpetuum mobile w fizyce. Z punktu widzenia diabła hitleryzm był bardziej prostolinijny: w swojej stawce na głupotę, okrucieństwo i strach zakładał destrukcję na samym początku i od razu wyzwał ją grze moce, aby potem nimi kierować.

— Więc może obaj, pan i ja, jesteśmy synami Utopii? Co prawda silnie odmiennych, tak, ale nasz niepokój jest podobny. Nie czuję się jednak kompetentny, by analizować przyczyny tej „analogii różnic”. Zresztą jestem daleki od takich zamierzeń, analizuję przede wszystkim własną sytuację.

— Zewnętrznie od wielu lat była określona. Miałem etat w wyższej uczelni i dość częste propozycje reżyserskie ze strony teatrów, zwłaszcza na prowincji. Wewnętrznie natomiast — powiedzmy: subiektywnie — znajdowałem się w sytuacji rozchwianej. Żyłem w ciągłym poczuciu niewypełniania elementarnego obowiązku wobec rzeczywistości: nie myślałem o niej całą moją prawdą i nie istniał w niej mój duchowy udział. Ale ja w niej istniałem, żyłem w niej. Można tak żyć. Przesadziłbym nazywając ten stan rozpaczą. Znosi się go na co dzień jak płaskostopie lub przewlekłą migrenę, tkwi w nim nudna udręka i brak satysfakcji. Żyje się bez akcji, w ubóstwie wyobraźni, postacie wokół są mało zróżnicowane, coraz mniej osobistych wątków. W końcu nawet własny los przestaje zaciękawiać, jak mierna powieść, którą już kiedyś się czytało. W takim życiu jest pewna łatwość, jest mniej walki i napięcie — wiotczeje się od takiego życia. Po jakimś czasie przestałem kupować gazety. Zacząłem czytać pamiętniki. Byle jakie, byle dotyczące przeszłości. Pociągały mnie losy już przeżyte i uporządkowane przez czas. A przede wszystkim — inaczej przeżyte. Rządziej czytałem książki beletrystyczne. We współczesnych powieściach można było w najlepszym wypadku odnaleźć zniechęcające powinowactwa ze sobą, z własną przewertowaną świadomością. To nie pokrzepiało. A dookoła wszędzie uwijali się już nowi ludzie, kręcąc się wokół swoich spraw, obsiadając progi awansów i strącając z nich innych, bez skrupułów, z pracowitą żywotnością insektu. Obserwowałem, jak rodzi się w kraju typ Polaka z teczką, gotowego na wszystko za trzynastą pensję czy wyjazd zagranicę. Dusze sprzedawano tanio i bez targów. Wi-

działem także, jak dojrzewa nowy typ Polaka poczciwego, który podnosi i opuszcza rękę zawsze razem z prezydium — Polaka, który w żadnej sprawie publicznej nie zajmie stanowiska, najwyżej będzie chrząkał jak mój ojciec, kiedy mówiłem przy kolacji, że honor żołnierski to pojęcie wymyślone przez oficerów. Miałem już pewność, że w moim kraju większość ludzi żyje z wykasowanym poczuciem wolności i zaczynałem rozumieć: jest źle, kiedy prawa się łamie, ale naprawdę źle jest wtedy, gdy ludzie zapomnieli o własnych prawach. Powstawały trzeźwe, praktyczne teorie, filozofie nieczystego sumienia. Jedna z nich głosiła, że lepiej *m i l c z e ć i b y ć*, niż usunąć się i zwolnić miejsce dla innych, inni będą gorsi. Druga ujmowała rzecz otwarcie: wszystko wraz z nami jest gnojem, tylko zakłamanymi idiotami udają postawy moralne i właśnie ich, tych najniebezpieczniejszych, razem z ich postawami trzeba wdeptać jak najgłębiej w gnoj, samemu siedząc na wierzech. Były to filozofie nie tylko urzędnicze, przyznawali się do nich po pewnej ilości alkoholu przytomni humaniści, których oglądałem w telewizji. Oglądałem tych samych do dzisiaj i będę ich pewnie oglądał do śmierci, są w pełni sił, ta zaangażowana obsada się nie zmienia. Kupiłem telewizor, miała to być niespodzianka dla Mewy po maturze, ale prawdę mówiąc kupiłem go dla siebie. Po to, żeby ich oglądać, właśnie po to. W ich hipokryzji i teńróżostwie znajdowałem niedobre pocieszenia. Upadek godności ma w sobie coś fascynującego, patrzyłem urzeczony i w tych chwilach czułem się więcej wart. Przez porównanie z nimi, bo wyłącznie do tego byli mi potrzebni. Ale zarazem mniej warte stawało się życie. Moja godność — zastanawiałem się, czy to nie jest już tylko moje urojenie, mogłem sobie pozwolić na komfort uczciwości za cenę zamknięcia ust.

— Powtarzam jednak: dawało się żyć. Prawdziwą ludzką rozpacz pamiętałem z wojny. We wrześniu 1944, kiedy na podwórzach tłum śpiewał przed kapliczkami: „Słuchaj, Jezu, jak cię błąga lud! Jezu, Jezu, uczyn z nami cud!” — nie zna pan tych pieśni — tak, to była rozpacz, wtedy ludzie naprawdę krzyczeli do Boga o ratunek, na tych samych podwórzach widziałem świeżo usypane groby. Dzisiaj lud dorabia się mieszkań i telewizorów buduje domki jednorodzinne, zapełnia restauracje, kina, teatry, jeździ nad morze, w góry, do hoteli, do uzdrowisk, na ulicy nie sposób odróżnić człowieka pracującego fizycznie od inteligenta z dyplomem, tłum jest podobnie ubrany, stanowi równouprawnioną masę. Cud się dokonał. Po roku 1970 ekonomiści z Zachodu nazwali go „polskim cudem gospodarczym”.

Podniesiono płace, materialnie żyje się lepiej. A niematerialnie?

— Mój ojciec ograniczał pojęcie wolności do sprawy narodowej. Dzisiaj słyszę zdania, że dla współczesnych Polaków wolność sprowadza się do zaopatrzenia sklepów w mięso. Sprawę narodową zafatwia dziś aparat nadawczy: „jesteśmy niepodległym, wolnym narodem, dobrymi Polakami, co bili Turka i Niemca, i także Moskala, o czym po cichu wiemy, jesteśmy Polakami, którzy nauczyli się pracować i słuchać polskiej ludowej władzy”. A dobrzy, posłuszni Polacy, ci głosujący zawsze razem z prezydium i ci chrząkający w sprawach politycznej wolności, odpowiadają aparatowi: „racja, jesteśmy Polakami, biliśmy się pod Grunwaldem i Chocimiem, a teraz chcemy szynki”. I cisnąc się do sklepów, do ogonków, zmuszając polską władzę do zaspokajania ich rosnących potrzeb i tworząc patriotyczne, solidarne, niepodległe parcie na towary i żywność, wznoszą sztandar praw do lepszego spożycia. Tak się dziś spełnia polskie obowiązki. Proszę mi wierzyć, to nie żarty, to jest obecna forma walki o byt narodowy. W tej formie jest coś zastępczego, w długich kolejkach za mięsem tkwi jakaś uparta wola obrony własnych uprawnień. W każdym razie twierdzenie, że dla Polaków wolność oznacza dzisiaj ćwierć kilograma szynki, według mnie jest tylko powierzchownie słuszne.

— Powinien pan teraz zapytać: więc koniec końców, o co chodzi?

— O prawa.

— Dziesięć lat temu otrzymałem kilka ofert od zagranicznych teatrów, z Norwegii i Szwajcarii. Proponowano mi niezłe warunki. Wyjeżdżałem odtąd parokrotnie, by reżyserować przedstawienia w zamożnych miastach Europy prowincjonalnej, zainteresowanej nowymi prądami w teatrze i literaturze. Sześć lat temu wróciłem do Warszawy z Oslo, po dwumiesięcznej mordędze udało mi się przygotować inscenizację „Romea i Julii” w pełnym tekście, bez skrótów. Było chłodne przedwiośnie, na lotnisku nikt mnie nie oczekiwał, a celnik rewidujący moje walizki rozkroił na pół toaletowe mydło, które przywiozłem w neseserze. Przejechałem przez miasto pełne milicji i patrołów wojskowych, spostrzegłem jednak, że masa uliczna porusza się jak dawniej, sklepy, komunikacja i biura były czynne, tramwaje pełne obojętnych twarzy. W domu ustyszałem, co zaszło — dowiedziałem się o zawieszeniu Mickiewiczowskich „Dziadów” w Narodowym i o strajkach studenckich, po których nastąpiły relegacje i aresztowania. Wieczorem oglądałem telewizję, biało

ubrane kobiety z fabryki cukierków krzyczały przed kamerami, na transparentach były wypisane hasła o antypolskim spisku i żydowskich knowaniach. Sądziłem, że w czasie mojej nieobecności ludzi ogarnął obłęd, te kobiety patrzyły dzikim wzrokiem, reszta stała zbита w rzędy pod transparentami. Rano zszedłem kupić gazetę w kiosku i po minucie lektury miałem wrażenie, że wykopano z ziemi rytualny topór. Zatelefonował jeden z moich studentów, utalentowany chłopak: wyrzucono go z uczelni za udział w demonstracji w teatrze, ramię miał zwichnięte od uderzenia pałką na dziedzińcu uniwersyteckim. Powiedziałem mu, żeby przyszedł wieczorem. Nie przyszedł, tego dnia został aresztowany. Na posiedzeniu Rady Wydziału prosiłem o interwencję, potem rozpatrywano jakieś budżetowe sprawy. Rysując profile na kartce, nagle uprzytomniłem sobie treść „Dziadów”: aresztowanie studentów za spisek. W stopięćdziesiąt lat później aresztuje się i oskarża studentów o spisek po demonstracji na „Dziadach”. Czas, który konstruuje takie pointy, wydał mi się przez chwilę istotą o dowcipnym umyśle. Nie odezwałem się do końca zebrania, ale napisałem list. To było wszystko, co mogłem zrobić: półtorej strony maszynopisu, utrzymane w spokojnym tonie petycji. List wysłałem pocztą do Ministra Szkół Wyższych. Po miesiącu zawieszono moje wykłady, mój uczeń natomiast wyszedł po czternastu miesiącach i znowu zatelefonował. Spotkaliśmy się w Ogrodzie Botanicznym, były już ciepłe przedpołudnia, obydwaj mieliśmy dużo wolnego czasu. Wybrałem ławkę w górnej, mniej dostępnej części ogrodu, jeśli pan pamięta ten ogród — w czasie wojny spotykaliśmy się tam z Rabczynem, aby omawiać najnowsze instrukcje dowództwa.

— Dla kogo ta chwila była cięższa, dla niego czy dla mnie, tego nie wiem. Zresztą może w ogóle nie oczekiwał ode mnie odpowiedzi. Znaleźliśmy się we wspólnym impasie, siedzieliśmy na ławce jak para kolegów. Wprawdzie on miał przed sobą mniej więcej tyle lat myślenia, ile ja za sobą, ale w tym dniu nie liczyła się nieczyja mądrość. Dzień jakby przyduszony do ziemi brudną łapą, czy zna pan takie bezwładny, kiedy nie chce się otworzyć ust ani poruszyć ręką? Przyszło mi na myśl, że obaj mamy obcięte ręce i żaden nie może drugiemu podać szklanki wody. Obydwaj byliśmy ludźmi pozbawionymi praw.

— Przewidywałem, że za jakiś czas przyjmą go z powrotem na uczelnię, skończy ją, będzie miał dyplom reżyserski, później wyjedzie na prowincję, dostanie pracę w teatrze. Zdaje się jednak, że uważał świat za kupę świństwa, a ja nie zamierzałem mu tłumaczyć historycznych procesów rozwojowych. Mogłem mu

najwyżej powiedzieć: jeżeli dzisiaj wątpisz, czy świat jest ciebie wart, to za rok możesz dojść do wniosku, że nie jest wart twoich skrupułów. A za dwa lata cię kupią. Dadzą ci teczkę, biurko, samochód. Obejrzą cię w telewizji i wysłucham twoich nowych poglądów na życie i sztukę. Wiedziałem jednak, że to mu nie grozi, prawdopodobnie postanowił czekać. Mogłem zapytać: na co? na przełom, na paszport, na cud? może na proroka? I mogłem mu również powiedzieć, że na jego miejscu zbawiałbym się sam. Ale powiedziałem tylko, że chodzę z tymi samymi pytaniami, a nikogo nie mam dziś ochoty przekonywać, że z takimi pytaniami się rodziły. Powiedziałem mu mniej więcej tak: „Dostałeś kijem po głowie i twoja głowa zareaguje na to myśleniem. Przypuśćmy, że dadzą ci pracę i wyjedziesz do Zielonej Góry, albo że dadzą ci paszport i wyjedziesz na Zachód. Wyjedziesz ze swoją inteligentką głową, a ja zostanę tu z moją. Ale nasze głowy muszą pamiętać o jednym: że jeśli można pozbawić nas praw, to nie oznacza, że wolno nam o nich zapomnieć. Bo tylko my sami możemy zniszczyć prawa: jeżeli o nich zapominamy, jeżeli przestaniemy je znać.”

— Nic więcej nie miałem mu do powiedzenia. Proszę to uznać za moją opinię w punkcie 23 ankiety: *Gdyby miał pan możliwość zabrania głosu wobec przedstawicieli młodzieży całego świata, jakie wygłosiłby pan przemówienie? o czym by pan mówił przede wszystkim? co by pan zalecał i przed czym by pan ostrzegł?*

— Dzisiaj rano zadzwonił do mnie jakiś nieznajomy mężczyzna, którego nazwiska nie dosłyszałem wyraźnie. Końcówka ...owski czy ...ewski, mówił po polsku i proponował mi spotkanie. Twierdził, że o moim przyjeździe na kongres dowiedział się z telewizji. W trakcie obrad przeprowadzono krótkie wywiady telewizyjne z delegatami, między innymi ze mną. Kiedy go zapytałem, o czym będziemy rozmawiać, wyjaśnił: — O dawnych sprawach. Wojennych. — A po chwili dodał: — Byłem członkiem „Ronda”. — Powiedział, że telefonował parokrotnie, ale nie mógł mnie zastać w hotelu. Jutro w południe będzie mnie oczekiwał w barze na Iorgenshouve. Mam nadzieję, że nie grozi mi porwanie.

— Mówiłem wczoraj o wydarzeniach, jakie rozegrały się w Polsce w marcu 1968 i później. Były obszernie komentowane na Zachodzie, na pewno doszły pana ich odgłosy. W tym czasie, przypomina pan sobie, Czechosłowacja przeżywała swój pół-

roczny cud, Praską Wiosnę. Cud zakończony w sierpniu tegoż roku interwencją wojsk Paktu Warszawskiego, wkroczeniem trzech armii — radzieckiej, polskiej i niemieckiej. Po aresztowaniach studentów w Warszawie nastąpiły procesy intelektualistów w Pradze. W grudniu 1970 wybuchły w Polsce strajki robotnicze na Wybrzeżu, w starciach z wojskiem i milicją byli zabici i ranni. Rok 1971 zapoczątkował nową linię: zwolnienie chłopów z dostaw obowiązkowych, cofnięcie podwyżki cen na artykuły pierwszej potrzeby, zawarcie szerokich umów handlowych z krajami zachodnimi i przyspieszony rozwój budownictwa mieszkaniowego. Podnoszono płace i rozpoczęto produkcję Polskiego Fiata, wkłady pieniężne ludności na książeczki oszczędnościowe rosły z miesiąca na miesiąc. Wzrosła też ilość turystów przybywających do Polski oraz Polaków wyjeżdżających za granicę. Był to, jak powiedziałem, polski cud gospodarczy, a skromniej mówiąc reformy oczekiwane przez społeczeństwo. Ale jeśli pan pamięta, wspominając poprzednio o uwłaszczeniu chłopów zwróciłem uwagę na zygzakowaty tor, jaki musiał przebyć jeden nieunikniony akt reformy. Trudno dziś porównywać doniosłość społeczną przemian zaszłych w Rosji po roku 1860 i w Polsce po 1970, można by jednak już dzisiaj również w drugim wypadku z grubsza obliczyć wyłożone koszty. Aresztowania, wyroki, rugi z uczelni i z pracy, fala emigracyjna, masakra na Wybrzeżu. Ale i wtedy rachunek nie byłby jeszcze pełny. W rozgrywce puszczone w obieg hasła nacjonalistyczne, prasa rozbudzała antysemityzm. W kraju, w którym podczas wojny Niemcy zgładzili 3 miliony Żydów, ludzie ocaleni od komór gazowych znowu dowiadywali się z gazet, że są o b e y t e j z i e m i. Takie zawołania rezonowały w przestrzeni administracyjnej, ich społeczny odbiór był na ogół milczący, ale łączyły się z nimi okazje szybkich małych karier i okazje te wykorzystywano. Nie polegały na akcesie ideologicznym, raczej na trzeźwej decyzji życiowej. Z ideologii zachował się tylko umowny język aparatu — zarówno „służba” dla narodu”, jak „wierność klasie robotniczej” oznaczały w tym języku dyspozycyjność w stosunku do ośrodków władzy. Rozpowszechniał się więc model człowieka dyspozycyjnego, któremu odpuszczano grzechy w zamian za cnotę niemyślenia. Typ znajomy z przeszłości, opisany w podręcznikach historii i zdawałoby się wyklęty. Zgodzi się pan, że historia każdego narodu ma swoje światło i ciemność. Płaciliśmy wtedy, i płacimy dalej, za Polskę głupią i ciemną. Amerykanie w roku 1963, kiedy zamordowano prezydenta Kennedy’ego, płacili za ciemną i głupią Amerykę,

i również płacą za nią nadal. Tylko okultystyczne widma pojawiają się i znikają, widma dziejowe są bardziej uparte.

— Zmiany w Polsce po roku 1945 nazwano kiedyś „łagodną rewolucją”. Z pewnością łagodna była nie dla wszystkich. Miała jednak wymiar rewolucji. Nadeszła z zewnątrz, od Rosji. Ale przebudowała strukturę społeczną kraju i gdyby pozwolono jej sięgnąć do prawdziwych zasobów energii społeczeństwa, gdyby umiała i mogła tego dokonać, to sądzę, że zbudowałaby w Polsce ustrój socjalistyczny polski, oparty na prawach. Powtarzam: gdyby jej na to pozwolono. Optymiści podtrzymywali w sobie tę nadzieję przez długi czas i wbrew faktom, tę nadzieję potwierdził rok 1956, Październik. Ale w 10 lat po Październiku widziałem tych samych ludzi psychicznie załamanych. Tylko cynicy mówili jeszcze o ideologii, w kraju cuchnęło bezprawiem. Ta lekcja zepsucia i głupoty trwała kilka lat. Gdy konieczność zmian stała się znów nieodparta, bezprawie wyciągnęło kukły z narodowych składów i pogasiło światła. W ciemnościach rozhuśtano szopkę. Działo się to w roku 1968 po studenckim Marcu. Kiedy w 30 miesięcy później nastąpił wybuch w portowych miastach, i potem, kiedy znów zaczęto mówić o Odnowie, wielu spośród ludzi, o których tu wspominam, przeżyło kolejny powrót nadziei. Było to po robotniczym Grudniu, w pierwszych miesiącach roku 1971. Pesymiści obawiali się wtedy dwóch rzeczy. Po pierwsze, że zwrot kursu polityczno-ekonomicznego nie wystarczy, żeby usunąć deprawację, która wżarła się w życie, i po drugie, że reformy, nawet w dziedzinie tylko materialnej, będą hamowane przez nie zmieniony aparat urzędniczy. Podobne obawy wyraził anonimowy dowcip: „Widzicie, Macieju, te wróble na gałązkach?” „Widzę, Wojciechu, ale odfrunęły!” „Już przyfrunęły z powrotem, Macieju, tylko każdy na inną gałązkę.” „A bo to pewnie, Wojciechu, jest Odnowa!”

— Kiedy wróciłem z Oslo i na warszawskim lotnisku celnik rozkroił mi scyzorykiem toaletowe mydło, byłem już chyba podejrzany. O co, nie miałem pojęcia, może jako kurier polityczny mojej córki, która wzięła udział w strajku uniwersyteckim? Po jakimś czasie zrozumiałem, że jestem i będę podejrzany w sensie znacznie szerszym. Należę do podejrzanej kategorii ludzi orientujących się w rozmiarach szkód, jakich dokonano w samym rdzeniu życia społecznego. Nie wystarczy lata, aby te szkody naprawić. Podniesiono płace, ale nie przywrócono zaufania do praw, buduje się bloki mieszkaniowe, nie odbudowano jednak psychologicznego związku między człowiekiem a pracą. Należę do ludzi podejrzanych o to, że chcą sprawdzić mechanizm

systemu i wykryć jego nieprawidłowości. Tego się nie wybacza, ponieważ, jak mówiłem, funkcja mechanizmu jest samonaśladowcza i jego skuteczność polega na reprodukowaniu nieprawidłowości. Jako człowieka podejrzanego o chorobliwy zamiar udowodnienia, że prawda jest lepsza niż błąd, pozbawiono mnie stanowiska wykładowcy na uczelni i po miesiącu Odnowy zaofiarowano mi biurko w cichym gmachu z dala od moich studentów. Jeśli byłby pan ciekaw, co myśli i jak się zachowuje taki podejrany człowiek, oraz co mu grozi, postaram się to wyjaśnić. Nie dla osobistej satysfakcji, lecz dlatego, że przy okazji może uzupełnię to, czego nie wyraziłem dość ściśle w moich odpowiedziach na kilka punktów ankiety.

— Po drodze nawiążę jeszcze do pytania 25 w kwestionariuszu: *Czy krytyka rządu i instytucji publicznych jest w pańskim kraju możliwa? w jakiej formie może się przejawiać? w jakim położeniu znajduje się człowiek, który ją wyraża?*

— Człowiek, który w Polsce krytykuje rząd, pozostaje w zgodzie z Konstytucją Państwa. W praktyce jednak każda próba publicznej krytyki może go narazić na utratę pracy i szykany administracyjne. W tej sytuacji krytyka jest niemal z reguły skazana na milczenie lub formy półjawne i na ogół wyraża się w pewnym sposobie życia, który określiłem jako wyłamanie się z funkcjonalności. Powiedziałem, że człowiek decydujący się na ów sposób życia staje się dla władzy jednostką podejrzaną. Będzie odtąd musiał ponosić konsekwencje tego stanu rzeczy. Konsekwencje są rozmaite — złe i dobre. Taki człowiek dotkliwie przeżywa swoją zbędność w masie ludzkiej, która wydaje mu się coraz bardziej zależna i nijaka, ale jest w tej masie jednostką podejrzaną i to go wyodrębia z ogólnej nijakości. Jest bowiem podejrany o to, że myśli indywidualnie, w rezultacie więc podejrzenie umacnia jego wewnętrzną indywidualność, stwarzając mu poczucie własnej, godnej uwagi i osobnej egzystencji. Chciałoby się powiedzieć, że podejrzenie dobrze mu robi. Można by nawet sądzić, że jest to odmiana łaski. Taki człowiek wydzielony z masy zaczyna żyć w bardziej znaczącej rzeczywistości, gdzie nie ma gotowych odpowiedzi — fabrykowanych dla masy — i gdzie wyłaniają się pytania. Pytania ważne, odwieczne, dotyczące spraw takich, jak wolność, prawda, Bóg i śmierć. Jest to rodzaj życia mniej zorganizowany niż dziedzina rozrywki zbiorowej i otoczony mniejszą opieką niż przynależność do nomenklatury. Daje natomiast inne ciekawe doświadczenia, choć łączy się z nimi sporo niebezpieczeństw, o których będę jeszcze mówił.

przyrodnicze, czyli takie, które powstają z uświadamiania sobie przez ludzi ich duchowych pokrewieństw. Nie tych seryjnie wyprodukowanych, ale tych jednostkowych, tych poza serią. Moment przejścia z jednej kategorii do drugiej bywa niekiedy osobliwy. Pewien młody człowiek, geolog i alpinista, opowiadał mojej córce, że w czasie wypraw wysokogórskich sprawdzał swoją odwagę. Kiedyś po sforsowaniu prostopadłej ściany, przeżywając chwilę ekstazy na kamiennej półce, nagle pomyślał, że przez pięć lat w żadnej sprawie nie umiał się przeciwstawić sekretarzowi organizacji partyjnej. I na tej półce zaczął się zastanawiać, czy nie ucieka w góry po to, żeby zamienić uczciwość na wspinaczkę. W górach, powiedział, czułem się jak orzeł, a na dole jak reszka. Mówiąc to sformułował bezwiednie teologiczny dylemat: rozdźwięku w człowieku między „naturą stworzoną i naturą nie stworzoną”, między ciałem a słowem. Po powrocie z kolejnej wyprawy usunięto go z partii za przemówienie, w którym oświadczył, że socjalizmu nie można budować „na płask”. Ten młody człowiek nie mieszka już w dolinie. Jest obecnie przewodnikiem w Tatrach i korzysta ze statusu ludzi podejrzanych.

— Myślę, że tylko ludzie podejrzani, i podejrzani z tych powodów, mogą tworzyć ośrodki niematerialnych wartości w systemie, w którym nie ma kierunków w górę, ku imponowalności i cnocie humanistycznego universum. Ci ludzie to jest odrzucony kapitał moralny, który będzie procentował, i to jest rezerwa na czarną godzinę. O osobowości narodu nie decydują tylko wskaźniki produkcji, ale przede wszystkim racje tych ludzi. Gdyby ci ludzie zaczęli to sobie już teraz wspólnie uświadamiać, byłoby to porozumienie szczególnej wagi. W chwilach optymizmu widzę realność takich powinowactw z wyboru, a w chwilach lekkomyślności sięgam nawet po analogie historyczne. Czy na przykład wolnomularstwo nie było odpowiedzią na purytanizm i kontrreformację, próbą porozumienia się poza machiną systemu, albo czy gminy chrześcijańskie nie były reakcją na biurokratyczną i zmaterializowaną strukturę imperium? Powie pan na to, że chrześcijaństwo zaczęło się w dołach, a do łoża masonskiej należał król pruski. Zgoda, ale krzyż trafił do gabinetu cesarza, a kielnia wybudowała zachodnie demokracje. Każde z tych porozumień o tak niejednakowym znaczeniu wykonało drogę, którą na początku przewidzieć byłoby dość trudno. Ano właśnie.

— Ale to wymaga pracy. Kultura wymaga pracy. To jest tkanka łączna, która powstaje ze zbiorowego wysiłku, z groma-

dzenia materiałów, dokumentów, świadectw i wymiany obserwacji. Z korespondencji, z dysputy, z pamiętników, z kronik, nie tylko z dzieł wyobraźni. Ludzie XVIII i XIX wieku mieli tę codzienną zaprawę, nie byli leniwi w zapisywaniu faktów i myśli, rygory obowiązywały nawet w rozmowie — w rozmowie opracowanej, czyli w konwersacji. U nas rozmowa, kiedy nie jest publikowana, ma przeważnie charakter nieważki, przypadkowy, a gdy jest przeznaczona do publikacji, nie jest bezinteresowna. Listy? relacje? zapisy stanowisk? dzienniki osobiste? Nad wszystkim ciąży zamówienie, doraźność i cenzura wewnętrzna. A powstawanie wspólnej świadomości jest niemożliwe bez ciągłej i długotrwałej komunikacji umysłowej między ludźmi, których świadomość była dotychczas izolowana. I ta komunikacja polega na czynnościach, na cierpliwym ćwiczeniu i wdrażaniu się w autentyczne odruchy kulturowe. Wspólna świadomość wymaga warsztatu. To, co ma nas przetrwać, musi być przez nas uprawiane. Jeżeli nie dokonamy tej pracy, to za pięćdziesiąt lat ludzie do nas podobni będą już niewolnikami. Może będą lepiej się czuli niż my, będą weselsi od nas — będą pogodnymi niewolnikami.

— Kiedy mówię o wspólnocie „podejrzanych”, o ich wzajemnej solidarności i komunikacji, mówię to zdając sobie sprawę z wszelkich ograniczeń, jakimi są krępowani. Mam jednak na uwadze to, co jest możliwe. Choćby sposób porozumiewania się między sobą. Na przykład — rozmowa. Język może być także formą wolności. Ludzie, którzy zachowali zdolność wyrażania uczuć i myśli własnym językiem, którzy nie utracili treści swoich pojęć i sensu słów, tacy ludzie wymykają się transmisji. Nazywać rzeczy, zjawiska i fakty słowami pomyślanymi, a nie powielonymi, to pierwszy krok do wolności, który zawsze i wszędzie można zrobić. I myślę, że od tego należy zacząć — od tego, co można zrobić.

— O ile pan pamięta, wypowiedziałem się już w sprawie *głównych niebezpieczeństw zagrażających współczesnemu człowiekowi*. Połączyłem ten punkt kwestionariusza z odpowiedzią na inne pytanie, przeskakując punkt następny: jakie są według mnie *najważniejsze potrzeby współczesnego człowieka*.

— To, co jeszcze nie istnieje. To, czego jeszcze nie ma w teraźniejszości i czego większość ludzi sobie nie uświadamia. Nazywano to kiedyś marzeniem, ideałem. Dzisiaj takich słów się nie używa. Używał ich mój ojciec. Wyniósł je z poprzedniego stulecia i chciał mi przekazać ich wspólny mianownik: *niepodległość*. Ale ja wyrastałem już w wieku XX, w wol-

nym kraju, który nie umiał rozwiązać swoich realnych problemów, dla mnie niepodległość oznaczała 30 milionów ludzi o nierównych zarobkach, policję, bezrobocie i pałki — dla niego była do końca pojęciem, które utożsamiał z wolnością. Kiedy zginął we wrześniu 1944 wynosząc rannych z banku Pod Orłami, ten sanitariusz Powstania miał sześćdziesiąt lat. Myślę, że był jednym ze szczęśliwych ludzi, którzy żyli i umierali w spokoju. Jednym z tych dzielnych starszych panów, którzy po pierwszej wojnie światowej organizowali polskie szkolnictwo, samorząd, służbę zdrowia i wymiar sprawiedliwości, a w czasie drugiej wspierali cywilną walkę z okupacją i prowadzili tajne nauczanie. Nie musieli się szukać i odnajdywać, ich światopogląd był gotowy dawno przed ich urodzeniem, przyszedł na świat jakby z odziedziczonym losem — ze swymi zasadami, ze swoją hagiografią i alegoriami, wypracowanymi w toku długotrwałych pokrewieństw i porozumień ich ojców. Ja nie mogłem bez zastrzeżeń przyjąć tego spadku. Czułem w nim jakieś kadzidła, jakąś rycersko-sentymentalną obłudę i dżentelmeński wstyd wobec nagości faktów, który wtedy wydawał mi się czymś tehórzliwym. Miałem może prawo tak sądzić w latach nazwanych później czasami pogardy. Ale jak nazwać dzisiejsze lata? Duchowy skarbiec mego ojca został przejęty i zdyskontowany przez aparat, który zamienił go w komiksy, a ja patrzę na to siedząc przed telewizorem i gapiąc się w ekran z fajką w zębach. Oglądam naród w walce. Tak, oglądam naród w walce, jednocześnie śledząc technikę zabiegu. Bo celem projekcji jest wyłączenie z walki, nakierowanie uwagi wstecz, od terażniejszości ku imagi-nowanym dziejom, od rzeczywistości ku konterfektowi. Można rozpoznać miejsca brudnych retuszów na kliszy: obraz został podobiony i skorygowany, tak aby przy zachowaniu łudzących podobieństw mógł spełnić swoje odwrotne przeznaczenie. Obraz świata, jaki miał mój ojciec, na pewno nie był prawdziwy, ale dawał mu ideał wolności. Dzisiaj, rzucając swój nieprawdziwy obraz, projekcja utrwała wewnętrzną niewolę. Bo aparat wie tak samo dobrze jak ja, co to jest wolność i co to jest niewola, po mistrzowsku opanował grę pozorów i cudownie pojmuje, że falsyfikat wolności jest najlepszym utrwalaczem niewoli. Aparat wie o tym wszystkim. Aparat doskonale rozumie, że narodowe klisze można bez obaw rzucać na ekrany, podobnie jak bez obaw można pokazywać sztukę abstrakcyjną. Projekcja osiąga wtedy efekt pełni życia — tradycja plus nowoczesność, wszystkie potrzeby duszy są zaspokojone. Wszystkie z wyjątkiem jednej. Przed niczym aparat bardziej nie drży i nic nie przejmuje go

straszniejszą grozą niż ta jedna myśl. Myśl o porozumieniu się ludzi. Możliwość wspólnego uświadomienia sobie własnych za-deptanych praw. Wolność — i o tym aparat również dobrze wie — wolność narodu powstaje z praw jednostek i tej jednej wolności nie da się podrobić. Oto czego się boi aparat: że gdy ludzie rozpoznają się i odnajdą po ciemku, wtedy nagle dokoła zapalą się światła i projekcję trzeba będzie przerwać. Amen.

— Tak jak powiedziałem: to jest mój optymizm, to są moje nadzieje. A jeśli się nie spełnią? Wtedy pewnie się spełni najnowsza przepowiednia Icza, którego spotkałem na krótko przed moim wyjazdem z Warszawy — ostatnia, ciepła jeszcze koncepcja mego przyjaciela Icza, który stojąc przed międzynarodową księgarnią Prasy i Książki na Placu Unii Lubelskiej mówił do mnie znacząco i cicho, że w ciągu dwóch następnych pokoleń umrze Polska śmiercią cywilną na martwicę duchową i pochłonie ją zjednoczone imperium technokracji obojga światów. Po czym jeszcze ciszej i jeszcze bardziej znacząco dodał: — Chyba że uprzedziłby to wybuch nowej świadomości... — I oddalił się posuwistymi krokami w kierunku księgarni, by zakupić najświeższe wydania prasy katolickiej. Przepowiednie Icza zawsze trzeba traktować poważnie.

— Więc tyle na dzisiaj. Jutro mam się zobaczyć z człowiekiem, któremu będę musiał powiedzieć, że „Rondo” nie istniało. Nie wiem, kim jest ten człowiek i czego chce ode mnie. Spodziewam się przykrej rozmowy. A w dodatku nie jestem do niej przygotowany. Dlaczego wpadł mi do głowy pomysł stworzenia czegoś, co miało nie istnieć? Jeśli mu powiem, że zrobiłem to z miłości do kobiety, nie uwierzy mi i będzie miał rację. Zrobiłem to z innych powodów. Wspomniałem poprzednio o kosztach własnych konspiracji, o zniekształceniach i wynaturzeniach narzucanych przez walkę podziemną. W każdej zorganizowanej formie życia musi tkwić jakaś zła konieczność, którą później dopiero przewyciężają legendy i mity. Ja chciałem tę konieczność przewyciężyć od razu, sporządzić mit w stanie czystym, legendę bez kosztów. Bo w końcu co lepszego powstaje z doświadczeń, niż najlepsza nieprawda, jaką im można przypisać? Ja zapragnąłem rzeczy odwrotnej: z nieprawdy zrobić najlepsze doświadczenie. Mam jednak pewne wątpliwości, czy ta argumentacja jutro wypadnie przekonująco.

— Ósma wieczór. Czy słyszy pan szmer na taśmie? To jest szum deszczu. Tutaj w pokoju coraz ciemniej, nieustanny potok za oknami. Przed chwilą otworzyłem balkon, wtargnął słono-

zgniły zapach ryb pomieszany z czymś smołowatym i tłustym. Siedzę w kocu i nie pędzę mokrą autostradą w kierunku lotniska, to wszystko, czego mi trzeba. Czuję się dobrze. Staram się mówić trochę głośniej, bo taśma na pewno rejestruje bębnienie ulewy. A teraz ryczy jakiś kuter, słyszy pan?

— To był syn suflerki, znałem jego matkę. Pamiętam, kiedy statystowałem w „Weselu”, przynosiła mi w antrakcie bułkę z serem, jabłko i Stary Testament. Lubiła patrzeć, jak jem, i rozmawiać ze mną o Końcu Świata, gdy ziemię zleje krew po końskie brzuchy. Tak jest, była Świadkiem Jehowy. Później, w pierwszych zimowych miesiącach wojennych, kiedy pracowałem jako szatniarz w kawiarni aktorów na Przeskok, ona dostała tam posadę kasjerki. Pani Lala. Jej syn dorobił się lepszego zajęcia: jest przedstawicielem amerykańskiego koncernu elektronicznego, zdaje się „West-Electric”. Powiedział: — Mama umarła zaraz po wojnie. Tam, gdzie się urodziła, w Zawierciu.

— Przypomniałem to sobie po szklance alkoholu. Z początku sądziłem, że zaszała omyłka albo że mam do czynienia z mistyfikacją. Nic mi się nie kojarzyło z tą twarzą, z łysiną i bączkami — wyglądał jak tysiące pasażerów międzynarodowych linii lotniczych czy autokarów turystycznych. Fajka pomaga mi milczeć, postanowiłem jak najmniej się odzywać, czekałem. Czekałem na pierwszą sposobność, aby go przeprosić i pożegnać. Ale kiedy zaczął opowiadać, jak taszczył przemakającą walizkę z Dworca Wschodniego na Żurawią, i uśmiechnął się mówiąc: — Zatrzymał mnie pan na noc, bo już było po godzinie policyjnej... — wtedy nagle zobaczyłem go, jak stoi w środku pokoju z tą fibrową walizką, w mokrej wiatrówce i zabłoconych trampkach, siłkujących przy każdym stąpieniu. Poznałem go: Anek, jedynek pani Lali... To przecież na jej prośbę poleciłem go mojemu ojcu, kiedy zaczął prowadzić gimnazjalne komplety na Żoliborzu. Wiedziałem, że matka drży o niego, a po jakiejś rozmowie, gdy zawiadomiła mnie o aresztowaniu dwóch starszych chłopców z tego samego kompletu, z którymi się zaprzyjaźnił, wziąłem go do „Ronda”. W tym okresie byli mi potrzebni nowi kurierzy.

— Nie mogłem się na razie zorientować, do czego ja teraz mu jestem potrzebny. Za dwie godziny miał lecieć do Tokio. Jakaś umowa z Japończykami, napomknął o tym widząc, że zauważyłem, jak patrzy na zegarek. Dobrze, powiedziałem sobie, więc tym razem w samolocie nie będziesz studiował dokumentów i nie przejrzyś zaległej korespondencji, dam ci inny mate-

riał do refleksji. Ale budził we mnie sympatię właśnie przez to, że o nic nie pytał. Mówił o swojej matce i przyszło mi na myśl, czy nie chciał mnie zobaczyć po to, żeby o niej rozmawiać. Twierdził, że mnie lubiła. Przerwałem mu, aby się dowiedzieć, kiedy wyjechał z Polski. Uciekł przez Niemcy w czasie pierwszych aresztowań, potem był w Kanadzie. Wydawało mu się, że ma odcięty powrót, zresztą jeszcze w Niemczech doszła go wiadomość o moim aresztowaniu. Sądził, że od dawna nie żyję. Wie pan, co mi powiedział? Powiedział, że mu się śniłem. Przez parę lat zrywał się w nocy. Wpadł, złapali go z tą walizką i zeznał, że to ja kazałem mu przewozić tajne szyfry. Podobno we śnie wskazywał mi palcem. Powiedział mi, że kilka dni temu, gdy przypadkiem otworzył telewizor, zdrętwiał i przez chwilę miał wrażenie, jakbym przemawiał do niego zza grobu.

— Więc jeszcze jeden kompleks zdrady. Musiałem jednak przyznać, że jeśli trafiłem na swego Lorda Jima, to zachowywałem się dosyć taktownie. Najwidocznie unikał sentymentalnej łezki, mówił zwięźle, chwilami prawie oschle. Co do mnie, czułem się źle. Przestałem pić i czułem się coraz gorzej. Sprawa była idiotycznie jasna, a zarazem nie do rozwikłania. Tłumaczyć mu fikcję sprzed trzydziestu lat, przytaczać argumenty i okoliczności rozmyte przez upływ czasu, przecież to beznadziejne. A poza tym mogłem z góry przewidzieć jego reakcję: byłby przekonany, że chcę zatrzeć ślady. Gdybym mu powiedział, że nie byłem aresztowany, przez chwilę by się zastanowił, jakimi metodami zmuszono mnie do milczenia. Znam ten typ ludzi trzeźwych, ludzi interesu. Ostatecznie, będąc przedstawicielem koncernu elektronicznego, reprezentuje się także jakąś psychologię. W czasie okupacji na pewno czytał Conrada i teraz chciał sobie przypomnieć swoją romantyczną młodość. Ale ja doprawdy nie zamierzałem przetrwać w jego pamięci jako kapitan opuszczonego statku. Byłem już zdecydowany wszystko mu wyjaśnić, odkładałem tylko moment. Postanowiłem załatwić to możliwie najkrócej i najpóźniej. Więc gdy znów spojrział na zegarek, pytając, czy może mnie odwiedzić — zgodziłem się. Mój hotel jest po drodze na lotnisko. Rachunek w barze zapłacił małym niebieskim ciekim i zacerwienił się przy tym, widział, że go obserwuję. Siedząc za kierownicą poinformował mnie, że samochód jest wynajęty, agencja odbierze go z parkingu na lotnisku. Oczywiście, starał się wobec mnie uskromnić swój życiowy sukces. To było rozbijające, ale przez cały czas chciało mi się śmiać, jakby mnie ktoś lekko łaskotał. Kto wymyślił tę powieść? Przemoknięta

walizka z tomikami Leblanca i Wallace'a... Dworzec Wschodni... „Rondo”... Tokio... „West-Electric”... Gdy wreszcie zatrzymał samochód przed hotelem, odezwał się nie zdejmując rąk z kierownicy: — Przepraszam, że zabrałem panu czas. — Zrobiłem na to dowcipną minę: — Zdaje się, że kiedyś ja także zabierałem panu czas. — I nic więcej nie potrafiłem wykrztusić. Ale nie wysiadłem z samochodu. Czułem pustkę w głowie, jak w pierwszej klasie przed tablicą, kiedy ze strachu zapomniało się wykutej na pamięć lekcji. Uśmiechaliśmy się do siebie jakoś bokiem i zupełnie nieoczekiwanie zaproponowałem mu, że pojedę z nim na lotnisko. A wtedy musiało w nim coś pęknąć. Obrócił się do mnie, zawołał: — Tak, tak! Naturalnie! — Usłyszałem pisk opon i na sekundę straciłem oddech. Przeklinałem swój kretyński pomysł, wyskoczyliśmy na autostradę i w tej samej chwili o przednią szybę walnęły pierwsze strugi deszczu. Zwariował! Prowadził wóz po mokrym asfalcie z szybkością 200 kilometrów i przekrzykując ulewę wrzeszczał o najszcześniejszych dniach swojego życia. O najszcześniejszych dniach swojego życia, kiedy przewoził walizkę z tajnymi szyframi, kiedy jakaś dziewczyna w pociągu spała z głową na jego ramieniu... A teraz zginiemy, myślałem, roztrzaskamy się na autostradzie i może to nie będzie najgorszy epilog. Jednakże w pewnym momencie coś mnie zastanowiło, nie umiałem się połapać, o co chodzi, bo dalej mówił o tej dziewczynie z pociągu i przysięgłbym, że powiedział: „Nie mogła ze mną przyjechać, a tyle jej o panu naopowiadałem!” Zaraz, chwileczkę, musiałem chyba źle zrozumieć: kto nie mógł przyjechać? I włos mi się zjeżył: spostrzegłem, że ten szaleniec prowadzi wóz lewą ręką, nie zmniejszając szybkości, a prawą sięga do kieszeni. Portfel, wyjmował portfel!

— Zdążyłem zwrócić mu zdjęcia dosłownie w ostatniej chwili, właśnie przez głośniki wywoływano jego nazwisko. Pamiętam, że na jednym młoda kobieta trzymała za ręce dwóch małych chłopców, a drugie było chyba późniejsze: ta sama kobieta wśród kolorowych poduszek na tapczanie czytająca książkę. Poznał ją w pociągu, kiedy przewoził z Siedlec moją fibrową walizkę. Zasnęła na jego ramieniu, obudził ją w Warszawie, razem wysiedli i wtedy mu powiedziała, że jest Żydówką i nie ma gdzie przenocować. Uciekła przed obławą, była wycieńczona i głodna. Z dworca zawiózł ją do matki na Tamkę, to stamtąd przyjechał do mnie z przemoczoną walizką tuż przed godziną policyjną. — Mieszkała u mamy do Powstania — opowiadał — a pobraliśmy się w Montrealu, jak ją ściągnąłem do siebie, do Kanady.

— W barze na lotnisku kupiłem flaszkę burbona, potem wsiadłem do autobusu, który odwoził pasażerów linii „Air France”. Dojechałem szczęśliwie i jestem w niezłym nastroju. Gdyby mnie teraz ktoś spytał, jak mi się powodzi, odpowiedziałbym, że wszystko okey. Podobnie odpowiadają na takie pytania koledzy mojej córki. Przyczyny mojego dobrego humoru są złożone. W tej chwili przez okno widzę uczestników kongresu wygrzebujących się z trzech ogromnych autokarów, które zajęły przed hotel. Wrócili z kilkudniowej wycieczki po kraju, w szumie ulewy słysząc piski i okrzyki teatrologów i dramatopisarek z pięciu kontynentów. Gdybym w porę nie był zrezygnował z udziału w tej wycieczce, sadziłbym teraz ciężkimi skokami przez kałuże, by dobiec do recepcji i usłyszeć od portiera, że telefonował do mnie mister ...ewski czy ...owski, który dziś odleciał do Tokio i prosił, aby mi przekazać pozdrowienia. Jest ciepło i sucho, co pewien czas powraca do mnie myśl o „Rondzie” i jego potomstwie. Ci dwaj śmiejący się chłopcy z fotografii są przecież dziećmi „Ronda”, przyrodnymi braćmi mojej córki. To dziwne, ale czuję się jak założyciel Rodzaju, jak symboliczny Ojciec, który zachował dla siebie tajemnicę Stworzenia. Miłość, kłamstwo, przypadek, omyłka i krew lepiły moją fikcję, czyniąc z niej dzieło życia. I wszystko potoczyło się zgodnie z porządkiem rzeczy ku swemu powołaniu, by dalej przekazywać miłość, powtarzać błędy, ulegać fikcjom i przypadkom i przelewać krew. Ale to jest dobra robota, nie lepszego nikomu się nie udało, doprawdy mam powody, aby się dzisiaj nieźle czuć.

— Godzina dziesiąta trzydzieści. Powtarzam: byłoby rozsądniej trzymać się ściśle pytań i odpowiadać po kolei. Nie krępowałem się, mówiłem chaotycznie, wybierając sam tematy i zapuszczając się w osobiste dygresje. Co z tego wyszło, nie wiem — być może szkic autobiograficzny albo rodzaj tak zwanego portretu wewnętrznego. Zdaje się jednak, że nawet pod tym względem nie uchwyciłem sedna rzeczy. Trudno. Tak czy owak moje taśmy mówią, przekażą panu kilka godzin tekstu, który przecież coś wyraża, a przynajmniej zawiera jakiś materiał do analizy psychologicznej czy socjologicznej. Oczywiście, świadomość, że będę przedmiotem podobnej analizy, napełnia mnie obawami. Sygnalizowałem je na samym początku, teraz odczuwam je wyraźniej i myślę, że najlepiej będzie o nich uprzedzić.

— Przede wszystkim: moją wypowiedź można by zdyskwalifikować z myślowego punktu widzenia. Wiele zdań, jakie wy-

głosiłem, zabrzmia dla dzisiejszego intelektualisty rażąco anachronicznie, niektóre zaś wręcz dziecinnie, zwłaszcza gdy wypowiadam się na tematy przeorane przez klasyczną filozofię i etykę. Zdaję sobie z tego sprawę, określiłem to jako „cofniecie się do źródeł”. W powrocie do elementarnych rozróżnień między dobrem a złem widzę możliwość wyjścia dla człowieka ubezwłasnowolnionego przez sterowaną aparaturę procesów masowych. Twierdzę bowiem, że współczesne zjawiska masowe tworzą dzisiaj najnowsze społeczne oblicze zewnętrznej konieczności, jej fałszywych sugestii i pokus, którym przeciwstawić się może tylko wola moralna jednostki. Właśnie elementarna, płynąca z najstarszych i najprostszych wskazań. Najpierw ślepy, głuchy opór, a dopiero potem argumenty. Przewidując krytyczne uwagi, obstaję przy tym poglądzie.

— Dalej: spodziewam się, że młodych socjologów badających moją ankietę zaskoczą pewne kompleksy dla nich niezrozumiałe, nazwiska nie mówiące, daty i miejsca, które nie wywołują rezonansu w pamięci. Będą to sprawy lokalne, polskie. Pańskich współpracowników uderzy pewnie, jak głęboko te sprawy odciskają się na moim stosunku do współczesności. Przyjąłbym taki zarzut warunkowo. Bo uświadamiając sobie moje nienadążanie za myślą dzisiejszego Zachodu i przeciążenie mózgu polskimi kompleksami, uświadamiam sobie również przyczyny tego stanu rzeczy. Żyję w kraju, który od dwustu lat jest skazany na odruchy samoobronne, w narodzie, który przetrwał dzięki modlitwom, dzięki tajnym uniwersytetom i przemycanym książkom i który w okresie, gdy krystalizowały się charaktery społeczeństw zachodnich, miał jedyny cel: przetrwanie. Ktoś powiedział o Polsce: dramat sąsiedztw. Pewien znakomity myśliciel francuski określił to dobitniej: „Tous les Polonais sont emmerdés par les Russes”. Znaczy to, że mamy świadomość z a p i e p r z o n ą przez obsesję Rosji i że nasz olbrzymi sąsiad tworzy nam partykularną umysłowość. To jest zdanie typowo francuskie: złożone ze zbyt niewielu słów, by mogło być sprawiedliwe. Wymaga przynajmniej kilku zdań współrzędnych i kilku historycznych przypomnień, odnoszących się również do przeszłości Francji.

— Przewiduję także, iż można mi będzie wytknąć pewien anachronizm w tak częstym podkreślaniu przeze mnie znaczenia praw. Ludziom wychowanym w prawach ta odkrywczość wyda się trochę niewczesna. Ale trzeba zrozumieć, o czym mówię. Mówię o innym obszarze, o innej edukacji. Życie ma jakby naturalną skłonność do tworzenia złudnych, urojonych kształ-

tów. Wymyka się naszemu poznaniu, ulegamy jego fałszom i apoteozom, gubimy się w jego chaosie — i chcemy je uporządkować za pomocą praw. Polskie życie od dawna miało tę samą skłonność podniesioną do potęgi, tworzyło więcej zniekształceń, więcej urojeń i złudzeń — a tych złudzeń, tych egzaltacji i zbiorowych świętości nie przymierzano do praw, lecz odwrotnie, czyniono z nich prawa, zastępowano nimi prawa. Brak własnego państwa wyłonił osobliwy fenomen panowania wyobrażonego nad rzeczywistym, fenomen, który dzisiaj stał się przedmiotem politycznej reżyserii. Dlatego mówię o prawach i w tym znaczeniu o nich mówię, że tylko poprzez prawa jest możliwe wyjście z aranżowanej dziś komedii cieni, podsuwającej społeczeństwu zamiast wolności — rzekomą wolność, zamiast potrzeb jednostki — kostiumy narodowe, zamiast działania — masowy, zniwelowany odbiór. Mówiłem o prawach, bo przecież w jednoczącej i porządkującej konstrukcji praw równoważą się i scalają pojęcia jednostki, społeczeństwa i ludzkości, których harmonia w Polsce została zwichnięta przez apoteozę Narodu. Ale naród to są także prawa. Mogłbym w tym miejscu przytoczyć zdanie Mickiewicza zanotowane przez jednego z najbardziej wiarygodnych rozmówców. Wypowiedział je po roku 1848 i brzmiało mniej więcej tak: „Turek jest na ogół uczciwszy od Francuza, jednakże Francuzi są wyższym społeczeństwem niż Turcy, ponieważ Francja ma lepsze prawa.”

— Mówiłem też o prawach mimo albo dlatego, że większość ludzi w Polsce nie uświadamia sobie, jak bardzo ich potrzebuje. A nie wiem, czy istnieje dziś drugie społeczeństwo tak zgłodniałe praw.

— Miała to być odpowiedź na ankietę, materiał dla socjologicznego sondażu. Tymczasem może nasunąć się myśl, że są to zwierzenia człowieka o biografii i poglądach niezbyt typowych dla zbiorowości, którą ma reprezentować. Taką uwagę również przyjąłbym z zastrzeżeniami. Nie jestem wyjątkiem, w Polsce wielu ludzi żyje i myśli podobnie jak ja. Mój życiorys jest jedną z wersji doświadczeń mego pokolenia, a moje opinie w większości poruszonych tu spraw są aż nazbyt obiegowe i potoczne. Wszystko, co tutaj mówiłem, mogłoby zostać powiedziane w trzeciej osobie i nie byłaby to osoba nieprawdopodobna. Ale obawiam się, że nawet wtedy nie dałoby się uniknąć tonu niedyskretnych wyznań, trudnego do przyjęcia w waszej części świata. Wynika to zapewne z drastyczności ludzkich sytuacji w naszej części świata.

— Ostatnie nagranie. Przejrzałem kwestionariusz, by spraw-

dzić, co w nim pominąłem. Opuściłem tylko cztery punkty.

— *Jak często korzysta pan z porad psychiatry?*

— *Czy dopuszcza pan możliwość wygaśnięcia naszej planety? czy myśl o takiej możliwości powoduje w panu depresję psychiczną?*

— *Pański pogląd na instytucję małżeństwa we współczesnym świecie? czy uznaje pan małżeństwa homoseksualne?*

— *Gdyby mógł pan urodzić się ponownie w wybranym przez pana miejscu i czasie, jaką by pan wybrał epokę i kraj?*

— Nie umiem wytłumaczyć, dlaczego właśnie te pytania opuściłem. Nie odpowiem już na nie i proszę to położyć na karb mego zmęczenia.

— Od kilku dni trwają moje próby w „Studio XX”. Prawda, nic jeszcze nie powiedziałem o sztuce, którą reżyseruję. Jest krótką, dwuaktową, utrzymana w poetyce średniowiecznej balady. Mówię „utrzymana w poetyce”, bo niewątpliwie mamy tu do czynienia ze stylizacją świadomą i mistrzowską. Rzecz z pewnością została napisana znacznie później, przypuszczalnie na początku XIX wieku. Słowem, jeden z apokryfów, które zrobiły karierę, przerabia go się dziś na musicale. Treścią jest historia irlandzkiej dziewczyny uwiedzionej przez feudalnego pana. W rzeczywistości feudalny pan ani się spostrzegł, kiedy i jak został uwiedziony przez dziewczynę. Obsada pięcioosobowa, spodziewam się przygotować premierę w ciągu 4 tygodni. Rolę dziewczyny gra Uth Seenzen.

— I to, zdaje się, byłoby wszystko.

— W „Studio XX” przerejestrują mi całe nagranie na świeże taśmy. Wczoraj się w nie zaopatrzyłem. Chciałbym je mieć dla siebie, wezmę je do Warszawy. W niczym nie naruszają Konstytucji, są przez nią chronione, mam prawo je przewieźć. A zresztą i tak nie zmieściłyby się w mydle. Przewiozę je w kieszeni płaszcza.

— Jutro zwrócę panu magnetofon. Dziękuję.

1975

KATALOG KSIĄŻEK « BIBLIOTEKI KULTURY »

	Stron	F.
Allilujewa, S.: <i>Dwadzieścia listów do Przyjaciela</i> (Seria „Archiwum Rewolucji”)	256	20,00
Andrzejewski, J.: <i>Apelacja</i>	112	12,00
Arżak, M. (Ju. Daniel): <i>Odkupienie i inne opowiadania</i> ..	128	9,00
Barańczak, St.: <i>Ja wiem, że to niestuszne</i> (Wiersze 1975-1976)	64	15,00
Bieńkowska, D. I.: <i>Pieśń suchego języka</i> (Poezje)	64	9,00
Bieńkowski, Wł.: <i>Drogi wyjścia</i> (Seria „Dokumenty”)	88	10,00
Bieńkowski, Wł.: <i>Motory i hamulce socjalizmu</i> (Seria „Dokumenty”)	128	12,00
Bierezin, J.: <i>W a m</i> (Poezje)	76	12,00
Bobkowski, A.: <i>Coco de Oro. Szkice i opowiadania</i>	272	20,00
Bobkowski, A.: <i>Szkice piórkiem (Francja 1940-1944)</i> t. I/II	760	25,00
Brandys Kazimierz: <i>Nierzeczywistość</i>	128	25,00
Busza, A.: <i>Znaki wodne</i> (Poezje)	64	7,00
Chełuk, A.: <i>Wizyta w Izraelu</i>	160	20,00
Czapski, J.: <i>O k o</i>	228	12,00
Czaykowski, B.: <i>Point-no-point</i> (Poezje)	96	10,00
Czaykowski, B. i Sulik, B.: <i>Polacy w Wielkiej Brytanii</i> ..	581	30,00
Danilewicz Zielińska, M.: <i>Bibliografia (Kultura 1958-1973), Zeszyty Historyczne (1962-1973), Działalność wydawnicza (1959-1973)</i>	432	75,00
Dobek, Cz.: <i>Drugi rzut i inne opowiadania</i>	288	17,00
Gnomacki Wł.: <i>Towarzysz Szmaciak</i>	72	20,00
Gombrowicz, W.: „ <i>Dzieła Zebrane</i> ”, t. VII „ <i>Dziennik (II) 1957-1961</i> ”	256	30,00
Gombrowicz, W.: „ <i>Dzieła Zebrane</i> ”, t. VIII „ <i>Dziennik (III) 1961-1966</i> ”	224	25,00
Gombrowicz, W.: „ <i>Dzieła Zebrane</i> ”, t. I „ <i>Ferdynand</i> ”	292	24,00
Gombrowicz, W.: „ <i>Dzieła Zebrane</i> ”, t. IV „ <i>Kosmos</i> ”	160	15,00
Gombrowicz, W.: „ <i>Dzieła Zebrane</i> ”, t. IX „ <i>Opowiadania</i> ” ..	208	24,00
Gombrowicz, W.: „ <i>Dzieła Zebrane</i> ”, t. III „ <i>Pornografia</i> ” ..	168	15,00

	Stron	F.
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane”, t. V „Teatr”	224	18,50
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane”, t. II „Trans-Atlantyk”	132	14,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane”, t. X „V a r i a”	544	50,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane”, t. XI <i>Wspomnienia Polskie</i>	256	55,00
Greene, G.: <i>Moc i chwała</i>	247	15,00
Grynberg, H.: <i>Zwycięstwo</i>	96	9,00
Grzędziński, J.: <i>Maj 1926</i> (Seria „Dokumenty”)	112	9,00
Gulley-Chmielowska, H.: <i>Spotkania na galerii</i>	192	9,00
Guzy, P.: <i>Stan wyjątkowy</i>	144	12,00
Haupt, Z.: <i>Pierścień z papieru</i>	245	13,50
Herling-Grudziński, G.: <i>Drugie przyjście</i>	250	13,50
Herling-Grudziński, G.: <i>Dziennik pisany nocą</i>	192	25,00
Herling-Grudziński, G.: <i>Skrzydła ołtarza</i>	120	10,00
Hersch, J.: <i>Polityka i rzeczywistość</i>	225	9,00
Hertz, Al.: <i>Refleksje amerykańskie</i>	260	16,50
Hertz, Al.: <i>Szkice o ideologiach</i>	160	12,00
Hłasko, M.: <i>Cmentarze. — Następny do raj</i>	258	30,00
Hłasko, M.: <i>Opowiadania</i>	188	25,00
Huxley, A.: <i>Nowy wspaniały świat poprawiony</i>	121	7,00
Iwaniuk, W.: <i>Ciemny czas</i> (Poezje)	80	8,00
Iwaniuk, W.: <i>Wybór wierszy</i>	108	7,50
Iwanow, I.: <i>Czy istnieje życie na Marsie?</i>	112	7,00
Iwanow, I.: <i>Jest' li żizń na Marsie?</i>	102	7,00
Iwańska, A.: <i>Świat przetłumaczony</i>	240	15,00
Jedlicki, W.: <i>Klub Krzywego Koła</i> (Seria „Dokumenty”) ..	176	10,00
Kalinowski, Fr.: <i>Lotnictwo Polskie w Wielkiej Brytanii</i> (1940-1945)	372	36,00
Katelbach, T.: <i>Rok złych wróżb</i> (1943)	223	8,00
Koestler, A.: <i>Fragmenty wspomnień</i> (Seria „Archiwum Re- wolucji”)	240	13,50
Kołąkowski, L.: <i>Główne nurty marksizmu, t. I.</i>	432	75,00
Kołąkowski, L.: <i>Główne nurty Marksizmu, t. II</i>	544	110,00
Korboński, St.: <i>Polskie Państwo Podziemne</i>	288	40,00
Kozeliwec, I.: <i>Ukraina 1956-1968</i> (Seria „Dokumenty”) ..	272	18,50
Kot, St.: <i>Jerzy Niemirycz, inicjator Ugody Hadziackiej</i>	80	7,00
Kowalik, J.: „Kultura” 1947-1957. <i>Bibliografia Kultury</i> ..	392	15,00

	Stron	F.
Kowalik, J.: <i>Materiały do historii prasy polskiej na obczyźnie 1939-1962</i>	80	9,00
Kulski, J.: <i>Stefan Starzyński w mojej pamięci</i> (Seria „Dokumenty”)	144	12,00
<i>Kultura masowa</i> — opr. Cz. Miłosz (Seria „Dokumenty”)	145	6,00
Lednicki, W.: <i>Rosyjsko-polska entente cordiale 1903-1905</i> ..	144	9,00
Lipski, L.: <i>Piotruś</i>	80	7,00
Łobodowski, J.: <i>Złota Hramota</i>	190	9,00
Mackiewicz, St.: <i>Polityka Becka</i>	190	17,00
Madej, B.: <i>Piękne kalalie albo dojrzewanie miłości</i>	168	24,00
Madej, B.: <i>Maść na szczury</i>	208	30,00
Michnik, A.: <i>Kościół, lewica, dialog</i>	176	40,00
Mieroszewski, J.: <i>Materiały do refleksji i zadumy</i>	256	40,00
Mieroszewski, J.: <i>Modele i praktyka</i>	224	20,00
Miłosz, Cz.: <i>Prywatne obowiązki</i>	256	30,00
Miłosz, Cz.: <i>Widzenia nad zatoką San Francisco</i>	176	22,00
Miłosz, Cz.: <i>Ziemia Ulro</i>	224	50,00
Mostwin, D.: <i>Ameryko! Ameryko!</i>	491	15,00
Mostwin, D.: <i>Ja za wodą, ty za wodą...</i>	304	30,00
Mostwin, D.: <i>Olivia</i>	288	15,00
Nowakowski, T.: <i>Happy-End</i>	208	18,50
Odojewski, Wł.: <i>Zasypie wszystko, zawieje...</i>	484	45,00
Orłoś, K.: <i>Cudowna melina</i>	180	20,00
Pankowski, M.: <i>Smagła swoboda</i>	55	5,00
Pawlikowski, M. K.: <i>Wojna i sezon</i>	308	15,00
Pietrkiewicz, J.: <i>Poematy londyńskie i wiersze przedwojenne</i> ..	200	13,50
<i>Powszechna Deklaracja Praw Człowieka w językach: polskim, białoruskim, czeskim, litewskim, rosyjskim, słowackim i ukraińskim</i> (Seria „Dokumenty”)	64	10,00
Preiss, P.: <i>Biurokracja totalna</i>	208	18,50
<i>Program Związku Komunistów Jugosławii</i> (Seria „Dokumenty”)	276	8,00
<i>Przeciw niewolnictwu</i> (Seria „Dokumenty”)	64	10,00
Reale, E.: <i>Raporty. Polska 1945-1946</i> (Seria „Dokumenty”) ..	288	18,50
Rembek, St.: <i>W polu</i>	309	8,00
De Roux, D.: <i>Rozmowy z Gombrowiczem</i>	160	15,00
<i>Ruch Oporu w Polsce</i> (Seria „Dokumenty”)	288	50,00
Scherer, O.: <i>W czas morowy</i>	208	13,50
Singer, B.: <i>Od Witosa do Stawka</i>	400	18,00
Solski, W.: <i>Moje wspomnienia</i>	384	55,00

11 1.990.016

Odkwaszone

19-09-2008

Soc. Hist. et Litt. Po
Paris, 4 x 11 78

Cena 25 F